Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 9. Listopada 1879 r. Tom IX.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 41.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

SZKICE WĘGLEM.

LITWOSA.

(*Ciąg dalszy.*)

Wójt pomyślał chwilę. Nadzieja zaoszczędzenia tak znacznej sumy poczęła go łechtać i uśmiechać mu się przyjemnie.

— Ba! — rzekł w końcu — zawdyk to niebezpieczna rzecz.

— Już to nie na waszej głowie.

— Tego to ja się i boję, że pańską głową się zrobi, a na mojej się skrupi.

— Jak sobie chcecie, to płaćcie ośmset rubli...

— Nie powiadam, żeby mi ta nie było żal...

— A! skoro myślicie, że się wam wróci, to czegoż żałować? Ale wy na swoje wójtowstwo tak bardzo nie liczcie. Jeszcze na was wszystkiego nie wiedzą, ale żeby tylko wiedzieli to co ja wiem...

— Dyć pan kancelaryjnego więcej bierze jak ja.

— Nie o kancelaryjnem też mówię, ale o trochę dawniejszych czasach...

— A nie boję się! Co mi kazali tom robił.

— No! będziecie się tłómaczyć gdzieindziej.

To rzekłszy, pan pisarz wziął za zieloną kortową w kraty czapkę, i wyszedł z kancelarji. Słońce już było bardzo nizko; ludzie wracali z pola. Więc naprzód pan pisarz spotkał pięciu kosiarzy, z kosami na plecach którzy pokłonili mu się, mówiąc: „pochwalony,“ ale pan pisarz kiwnął im tylko wypomadowaną głową, a zasię: „na wieki“ nie odpowiedział, bo sądził, że człowiekowi z edukacją to nie wypada. Że pan Zołzikiewicz miał edukację, o tem wiedzieli wszyscy, a wątpić mogli chyba ludzie złośliwi i wogóle źle myślący, którym każda osobistość, wyrastająca głową nad zwykły poziom, zaraz solą w oku siedzi i spać spokojnie nie daje. Gdybyśmy mieli, jak się należy, biografie wszystkich naszych znakomitych ludzi — w biografii tego niepospolitego człowieka, czytalibyśmy, że pierwsze nauki pobierał w Osłowicach, stołecznem mieście powiatu Osłowickiego, w którym to powiecie leżała i Barania-Głowa. W siedmnastym roku życia, doszedł już młodociany Zołzikiewicz do klasy drugiej, a byłby również wcześnie doszedł i wyżej, gdyby nie to, że nagle nastały burzliwe czasy, które raz na zawsze przerwały jego ściśle naukową karjerę. Uniesiony zwykłym młodości zapałem, pan Zołzikiewicz, którego zresztą jeszcze poprzednio prześladowała niesprawiedliwość profesorów, stanął na czele żywiej czujących kolegów, wyprawił kocią muzykę swym prześladowcom, podarł książki, połamał linie, pióra i, porzuciwszy Minerwę, wstąpił na nową drogę. Idąc po tej nowej drodze, doszedł aż do pisarstwa gminnego; a jakto już słyszeliśmy, marzył nawet o podrewizorstwie.

Jednakże i na pisarstwie wiodło mu się nie źle. Gruntowna wiedza zawsze potrafi obudzić dla siebie szacunek, że zaś jak wspomniałem, sympatyczny mój bohater wiedział coś o każdym prawie z mieszkańców powiatu Osłowickiego, wszyscy więc byli dlań z szacunkiem, pomięszanym z pewną ostrożnością, ażeby się w czemś tak niepospolitej osobistości nie narazić. Kłaniały mu się więc i osoby z intelligencji, kłaniali się i chłopi, zdejmując już zdaleka czapki i mówiąc: „pochwalony!“ Tu widzę jednak, że muszę jaśniej czytelnikowi wytłómaczyć, dlaczego pan Zołzikiewicz nie odpowiadał na „pochwalony“ zwykłem: „na wieki wieków.“ Wspomniałem już, że sądził, iż człowiekowi z edukacją to nie wypada; ale były jeszcze i inne przyczyny. Umysły na wskróś samodzielne, bywają zwykle śmiałe i radykalne. Otóż, pan Zołzikiewicz doszedł do przekonania, że „dusza to para i basta.“ Przytem pan pisarz czytał teraz właśnie wydawnictwo warszawskiego księgarza pana Breslauera, pod tytułem: „Izabela hiszpańska, czyli tajemnice dworu madryckiego.“ — Znakomity ten pod każdym względem romans, tak mu się nawet podobał i przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanji: „Udało się Marforemu — myślał sobie — dla czegóż i mnie nie miałoby się udać?“ Byłby może nawet i pojechał, bo zresztą był teraz zdania, że „w tym głupim kraju, tylko się człowiek marnuje,“ ale wstrzymywały go, na szczęście, inne okoliczności, o których ta epopeja później mówić będzie.

Owóż, skutkiem czytania owej Izabeli hiszpańskiej, wydawanej perjodycznie, ku większej chwale naszej literatury, przez pana Breslauera, pan Zołzikiewicz zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo, a zatem i na wszystko, co pośrednio lub bezpośrednio z duchowieństwem związane. Nie odpowiedział więc kosiarzom, jako zwykle „na wieki wieków,“ tylko szedł dalej. Idzie, idzie, aż tu spotyka i dziewki z sierpami na ramionach, wracające od żniwa. Przechodziły właśnie koło wielkiej kałuży, więc szły jedna za drugą gęsiego, podejmując z tyłu kiecki i pokazując burakowe nogi. Dopiero pan Zołzikiewicz powiada: „Jak się macie sikory!“ i zatrzymał się na tej samej steczce, a co która dziewczyna przechodzi, to on ją wpół i całusa, a potem ją w kałużę, ale to tylko tak, przez dowcip. Dziewki też krzyczały: oj! joj! śmiejąc się, aż im zęby trzonowe było widać. A potem, kiedy już przeszły, pan pisarz nie bez pewnej przyjemności usłyszał, jak mówiły jedna do drugiej: A juże to piękny kawalir, ten nasz pisarz!“ — „I czerwony kiej jabłuszeczko.“ — Trzecia zaś mówi: „A głowa to mu tak puszy kieby róża; jak cię złapi wpół, to aż cię zamgli!“

Pan pisarz poszedł dalej, pelen dobrych myśli. Ale dalej znów, koło chałupy, usłyszał rozmowę o sobie, i zatrzymał się za płotem. Za płotem, z drugiej strony, był gęsty wiśniowy sad, w sadzie ule, a niedaleko ulów stały dwie baby rozmawiając. Jedna miała kartofle w podołku i obierała je cygankiem, druga zaś mówiła: „Oj! moja Stachowa, tak się boję, żeby mi mego Franka w zołmirze nie wzieni, że aż mi skóra cierpnie.“

A Stachowa na to:

— Do pisarzaby wam, do pisarza. Jak on nie zaradzi, to nikt nie zaradzi.

— A z czemże, moja Stachowa, ja do niego pójdę. Do niego z gołemi rękami nie można. Wójt je lepszy, przyniesiesz mu czy białych raków, czy masła, czy lnu pod pachą, czy kurę, to wszystko weźmie nie wybredzając. A pisarz ani spojrzy. O! on strasznie ambitny. Jemu to tylo chuścinę rozwiąż i zara rubla!

— Niedoczekanie wasze! — mruknął do siebie pisarz — żebym ja od was jaja albo kury brał. Cóżto ja łapownik jestem czy co? A idż z twoją kurą do wójta.

To pomyślawszy, rozsunął gałęzie wiśniowe, i już było chciał na kobiety zawołać, gdy nagle rozległ się z tyłu turkot bryczki. Pan pisarz odwrócił się i spojrzał. Na bryczce siedział młody akademik w czapce na bakier, z papierosem w zębach, powoził zaś ów Franek, o którym baby rozmawiały przed chwilą.

— Akademik wychylił się z bryki, dojrzał pana Zołzikiewicza, kiwnął ręką i zawołał:

— Jak się masz panie Zołzikiewicz. Co tam słychać. Cóż zawsze pomadujesz się na dwa cale?

— Sługa pana dobrodzieja! — ozwał, kłaniając się nizko Zołzikiewicz, ale gdy bryka mignęła dalej, zawołał w ślad za nią zcicha:

— Żebyś kark skręcił nim dojedziesz!

Tego akademika pan pisarz nie cierpiał. Byłto kuzyn państwa Skorabiewskich, który przyjeżdżał zawsze do nich na lato. Zołzikiewicz, nietylko go niecierpial, ale bał się go jak ognia, bo to był drwiarz, frant wielki, a z pana Zołzikiewicza kpił, jak gdyby umyślnie, i on jeden w okolicy co sobie z niego nic nie robił. Raz nawet wpadł na posiedzenie gminne i powiedział wyraźnie Zołzikiewiczowi, że głupi, chłopom zaś, że nie mają potrzeby go słuchać. Byłby się na nim pan Zołzikiewicz chętnie pomścił, ale... cóż mu mógł zrobić? O innych, to choć coś wiedział, a o nim to nawet nic nie wiedział.

Przyjazd tego akademika był mu nie na rękę, dlatego poszedł dalej z zachmurzonem czołem i nie zatrzymał się, aż dopiero przed jedną chałupą, stojącą trochę opodal od drogi. Gdy ją jednak ujrzał, czoło jego wyjaśniło się znowu. Była to chałupa, może biedniejsza jeszcze od innych, ale wyglądała porządnie. Umieciono było przed nią czysto, a podwórko przytrząśnięte tatarakiem. Pod płotem leżały szczapy drzewa, a w jednej z nich wspartej na pieńku sterczała siekiera. Nieco dalej widać było stodołę z otwartemi wierzejami, obok niej szopę, która była chlewkiem i oborą zarazem; dalej jeszcze ogrodzenie, w którem koń szczypał trawę, przestępując z nogi na nogę. Przed chlewem świeciła wielka gnojówka, w której leżały dwie świnie. — Kaczki brodziły koło gnojówki. Blizko szczap, między wiórami, kogut rozgrzebywał ziemię, a znalazłszy ziarno lub czerwia, poczynał krzyczeć: „Kocz! kocz! kocz!“ kury zlatywały się na to hasło na wyścigi i dziobały specjał, odbierając go sobie wzajemnie.

Przed drzwiami chałupy kobieta tłukła w mędlicy konopie, śpiewając: „Oj ta dada! oj ta dada! da-dana! — koło niej leżał z wyciągniętemi przedniemi nogami pies, kłapiąc pyskiem za muchami, które mu siadały na rozerwanem uchu

Kobieta była młoda, może dwudziestoletnia, i dziwnie urodziwa. Na głowie miała czepek zwyczajny babski, na sobie białą koszulę zaściągniętą czerwoną tasiemką. Kobieta zdrowa była jak rydz, szeroka w plecach i w biodrach, smukła w stanie, gibka — słowem: łania!

Ale rysy miała drobne, głowę niewielką i płeć może nawet i bladawą, tylko trochę ozłoconą promieniami słońca; oczy duże czarne, brwi jakby napisane, mały cienki nosek i usta jak wiśnia. Śliczne ciemne włosy wymykały się jej z pod czepca.

Gdy pan pisarz się zbliżył, pies leżący koło mędlicy wstał, schował ogon pod siebie i począł warczyć, błyskając od czasu do czasu kłami, jakby się uśmiechał.

—Kruczek! —zawołała dzwięcznym cienkim głosem kobieta. Nie będziesz ty leżał — żeby cię robole!...

— Dobry wieczór, Rzepowa!.—..zaczął pisarz.

— Dobry wieczór, panie pisarzoju! — odrzekła kobieta, nie przestając mędlić.

— Wasz w domu?

— Na robocie w lesie.

— A to szkoda! Jest do niego interes z gminy.

Interes z gminy, to dla prostych ludzi zawsze znaczy coś niedobrego. Rzepowa przestała mędlić i spojrzawszy trwożnie, spytała niespokojnie:

— No? cóże to takiego?

Pan pisarz tymczasem przeszedł wrota i stanął koło niej.

— A dacie się pocałować? to wam powiem.

— Obędzie się! — odparła kobieta.

Ale pan pisarz już zdołał ją objąć wpół i przygarnąć do siebie.

— Panie! będę krzyceć! — wołała Rzepowa, wyrywając się silnie.

— Moja śliczna, Rzepowa... Marysiu!...

— Pa-anie! toć to obraza boska! Panie!

To mówiąc, wydzierała się coraz silniej, ale pan Zołzikiewicz był także mocny i nie puszczał.

W tej chwili kruczek przyszedł jej na pomoc. Zjeżył szerść na karku, i z wściekłem szczekaniem rzucił się na pana pisarza, a ponieważ pan pisarz ubrany był w krótką marynarkę, kruczek więc schwycił za nieosłoniony marynarką kort, przejął kort, chwycił za nankin, przejął nankin, chwycił za skórę, przejął skórę, i dopiero poczuwszy pełno w pysku, począł potrząsać wściekle łbem i targać.

— Jezus! Maryja! — krzyczał pan pisarz, zapominając o tem, że należał do *esprits forts.*

Ale kruczek pana pisarza nie puszczał, do piero, gdy ten chwyciwszy polano, zaczął niem zadawać w tył ślepe razy, kruczek otrzymawszy uderzenie w krzyż, odskoczył skomląc żałośnie.

Po chwili jednak znów zaczął doskakiwać.

—Weźcie tego psa, weźcie tego djabła!— krzyczał pan pisarz, machając rozpaczliwie polanem.

Kobieta zawołała na psa, i odpędziła go za wrota.

Potem oboje z pisarzem, spoglądali na siebie w milczeniu.

— Oj dola moja! Coże se pan do mnie upatrzył? — zawołała nakoniec Rzepowa, przestraszona tak krwawym obrotem sprawy.

— Pomsta na was! — krzyknął pan pisarz.—Pomsta na was! Czekajcie! pójdzie Rzepa w sołdaty. Chciałem bronić... ale teraz... Przyjdziecie wy jeszcze do mnie.... Pomsta na was!...

Kobiecina aż pobladła, jakby ją kto obuchem w głowę, rozłożyła ręce, otwarła usta, jakby chciała coś mówić, ale tymczasem pan pisarz, podniosłszy z ziemi kortową czapkę, w zielone kraty, oddalił się szybko, machając jedną ręką polanem a drugą podtrzymując rozdarte szpetnie korty i nankiny.

(C. d. n.)

POGADANKI

O różnych mniemaniach naukowych i nienaukowych.

PRZEZ WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

2. O pozytywizmie i Darwinizmie.

Znasz zapewne, szanowny czytelniku, bajkę o żelaznym wilku, co to zieje ogniem i pożera niewinne dzieci? Musiałeś o niej nieraz słyszeć od nianiek w swych dziecinnych latach, może nawet straszono cię tem okrutnem zwierzęciem, gdyś był niegrzeczny, alboś się za nadto rozswawolił.

Dzisiaj, po tylu latach i po tylu przygodach, które cię wyleczyły nie z jednej ułudy, gdy przypomnisz sobie dziecinny wiek swój, gdy pomyślisz, z jaką to wiarą słuchałeś opowiadania o żelaznym wilku, z jakim to strachem spoglądałeś w około siebie, azali się gdzie nie przyczaił w jakim kącie pokoju, śmiejesz się serdecznie z dawnej swej naiwności i jesteś jak najgłębiej przekonanym, żeś się już dawno pozbył owej łatwowierności, z jaką brałeś za prawdę wszystko to, co ci opowiadano w bajkach. Mógłbyś się nawet obrazić, gdyby się kto ośmielił o tem powątpiewać. Bo czyliż nie jesteś prawym synem swego wieku, czyś się nie przejął do gruntu panującym dziś skeptycyzmem tak dalece, że nie tylko przestałeś wierzyć w żelazne wilki i latające smoki, któremi dzieci straszą, ale, kto wie, możeś nawet stracił wiarę w to, co podnosi życie, uszlachetnia codzienne zabiegi nasze—w ideały, któremi ludzkość żyje. Z tem wszystkiem

śmiem utrzymywać, że to twoje przekonanie o sobie nie jest niczem więcej, jak prostą zarozumiałością. Prawda, żeś się pozbył naiwnej łatwowierności dziecka, która wszystkiemu wierzy, co mu starsi powiadają; ale za to nabyłeś łatwowierności innej, gorszej od tamtej, bo łatwowierności człowieka, który stracił wiarę w dobre i tylko w złe wierzy. Jestto łatwowierność, z jaką słuchasz złośliwych plotek i potwarzy i bez namysłu stajesz w szeregu ludzi, którzy kamienują swego bliźniego za to tylko, że jest od nich wyższym i lepszym; jestto łatwowierność, z jaką przyjmujesz za prawdę wszystkie niedorzeczności i strachy, rozsiewane na rachunek pewnych prądów powszechnej cywilizacji, pewnych objawiających się w narodzie kierunków myślenia przez tych, którzyby pragnęli postęp ich powstrzymać, którzy znałogowawszy się do tego, co jest stare, z czem się obyli i zżyli, czują mimowolny wstręt do wszystkiego, co jest nowem i nieznanem dla nich.

Nie myślę wcale upierać się przy tem, jakobyś grzeszył łatwowiernością w nastawianiu ucha potwarzom, wymyślanym ku pognębieniu najniewinniejszych często ludzi. Jest to sprawa twego sumienia i na razie nie dotyczy mię bynajmniej. I owszem chcę nawet wierzyć, że pod tym względem jesteś najniewinniejszym w świecie; nie mam przynajmniej żadnego dowodu, ażebyś był winnym, ażebym mógł cię za takiego uważać. Rzecz się ma atoli inaczej z tą łatwowiernością, która na wiarę rzekomych powag, albo, co gorsza, wygłaszanych po dziennikach z pityjską jasnością zdań i sądów, potępia bez odwołania pewne objawy umysłowego życia. Pod tym względem, wybacz, że ci to powiadam, jesteś niepoprawnym grzesznikiem, i wnet ci dowiodę, że w tej materji posuwasz swą łatwowierność tak daleko, że nie wiadomo, czemu się bardziej mamy dziwić, czy przewrotności, z jaką rozmaite baśnie zostały wymyślone, czy lekkomyślności, z jaką ty te baśnie przyjmujesz za prawdę.

Musiałeś słyszeć coś, jeżeli już nie czytać, o pozytywizmie i Darwinizmie. Powiadam, musiałeś, bo dla czegożbyś o nich nie miał słyszeć, kiedy dziś stanowią one jeden z głównych przedmiotów naukowych i nienaukowych dyskusji. Wkrótce mówić o nich będą nawet stróże kamieniczni. Otóż, powiedz mi szczerze i otwarcie, co o nich myślisz? jak je sobie wyobrażasz? Nie wymagam, byś mi dawał naukową ich definicję, byś mi rozwijał całą ich teorję. Wiem, że jesteś człowiekiem praktycznym, który, zajęty kłopotami życia, troską o chleb powszedni, nie ma ani czasu, ani swobodnej myśli po temu, by się miał zajmować badaniem rzeczy tak oderwanej, jak naukowe teorje. Chodzi mi tu o to, jakie wyrobiłeś sobie pojęcie o znaczeniu tych teorji w stosunku do życia? jak przedstawiasz sobie pozytywizm i Darwinizm pod względem skutków zastosowania ich w praktyce?

Lecz na co mam cię utrudzać temi pytaniami, kiedy wiedząc, coś czytał i czegoś się nasłuchał, mogę łatwo sam na nie odpowiedzieć.

Śmiesznem byłoby naturalnie utrzymywać, że przedstawiasz sobie pozytywizm w postaci wilka żelaznego, pożerającego ludzi, a Darwinizm w postaci latającego smoka, porywającego dziewice. W istnienie bowiem żelaznych wilków, latających smoków i innych tego rodzaju potworów dziś już nie wierzysz. Nie podpada to wszakże żadnej wątpliwości, że pod względem niebezpieczeństwa, jakiem mają zagrażać dwie te doktryny społecznemu porządkowi, masz je za jedno, co najmniej, z ową apokaliptyczną bestją o siedmiu głowach, co to zapowiadając koniec świata i sąd ostateczny, ma prowadzić za sobą na świat wszystkie plagi egipskie. Bo czyliż ci nie powiedziano, że pozytywizm, to duch materjalizmu, wylęgły w czeluściach piekieł, który gasi i wypala wszystko, co jest świętego w piersiach człowieka?! Czyliż cię nie przekonywano, że Darwinizm jest to zamach na godność natury ludzkiej, że robiąc z człowieka dwunożne zwierzę, poniża go we własnem jego przekonaniu i tem samem rozgrzesza go na wszelkie rozpasanie się?

Otóż, uwierzywszy tego rodzaju wymysłom, bardziej niedorzecznym, niż złośliwym, i potępiwszy bez sądu i rozprawy rzecz, której nie znasz i poznać jej nie zapragnąłeś, o tyle przynajmniej, ażeby się dowiedzieć, co ona ma do powiedzenia na swą obronę; dałeś dowód takiej łatwowierności, a nawet lekkomyślności, że i małe dziecko nie mogłoby z tobą współzawodniczyć pod tym względem. Wszystko bowiem, coś słyszał i czytał w powyższym guście o pozytywizmie i Darwinizmie jest wierutnym fałszem, wymyślonym przez nieuków, którzy nie chcą się uczyć, albo przez zagrożonych w swem stanowisku doktrynerów, którzy badanie prawdy i jej posiadanie uważając za swój przywilej, w każdym współzawodniku na tej drodze widzą osobistego wroga i ku jego zgnębieniu w środkach nie przebierają. Że tak jest, nie trudno cię przekonać. Zechciej tylko uważnie posłuchać.

Zaczniemy od pozytywizmu, który, jak ci wiadomo, jest pewnym sposobem dochodzenia prawdy, sposobem, mimo nowej swej nazwy, tak starym, jak nim jest rodzaj ludzki. Jest on po prostu metodą doświadczalną, bardziej tylko rozwiniętą i wydoskonaloną.

Nie mogę ci tu wykładać szczegółowo całej jego teorji. Na to ani miejsca, ani czasu nie mam. Chodzi mi tu zresztą o to tylko, ażeby, pokazawszy, na czem on głównie się opiera, jakie są jego zasady, można ci było wykazać jasno jak na dłoni, o ile robione mu zarzuty są niesłuszne, o ile żywione z jego powodu obawy są płonne i na niczem nie ugruntowane.

Łatwo zrozumiesz, że wszystkie nasze sądy i wywody, jeżeli mają być prawdziwemi, muszą się oprzeć na czemś, co jest niewątpliwem; że całe nasze myślenie, jeżeli ma być pewnem, że wypadki, do których dochodzi, są trafne, musi zaczynać od tego, co jest prawdą niezaprzeczalną, nie potrzebującą żadnego dowodu.

Czy są takie niezaprzeczalne pewniki, takie prawdy, któreby żadnego nie potrzebowały dowodu i były widoczne dla wszystkich?

Muszą być, gdyż inaczej cała nasza wiedza byłaby obłędnem kołem, bez początku i końca; myśl nasza, pozbawiona punktu oparcia, byłaby w położeniu człowieka, który, zabłądziwszy w leśnej puszczy, na oślep rzuca się w tę i ową stronę bez nadziei trafienia na właściwą drogę. Zresztą nie masz pod tym względem żadnego sporu. Wszyscy zgadzają się na to, że takie pewniki być muszą. Pytanie tylko zachodzi czem są te pewniki i gdzie ich szukać należy? Otóż pod tym względem panuje w zapatrywaniach się sprzeczność rażąca. Bo gdy jedni utrzymują, że punktem wyjścia całej naszej wiedzy są pojęcia wrodzone, takie, jak np. czas, przestrzeń, substancja; to inni znowu, przecząc, by były jakieś wrodzone pojęcia, wszelką wiedzę wyprowadzają z doświadczenia.

Zważywszy, że punktem oparcia dla naszej wiedzy może być to tylko, co jest pewnem dla wszystkich, niewątpliwem dla nikogo, co żadnego nie wymaga dowodu, bo samo służy za dowód wszystkiemu, zgodzić się musimy, że z dwóch powyższych mniemań prawdziwem może być tylko ostatnie.

Pojęć wrodzonych nie możemy dla tego uznawać za źródło naszej wiedzy, ponieważ ich istnienie nie jest pewnikiem powszechnym, są bowiem tacy, co ich nie przyjmują, co w nie nie wierzą; ponieważ ich istnienie wymaga dowodu, którego, jak dotąd, żaden z ich wyznawców nie dostarczył; ponieważ między samymi racjonalistami nie masz zgody na to, jakie to pojęcia mają się uważać za przyrodzone, a jakie za nabyte.

Co się tyczy doświadczenia, to każdy wie to po sobie, że nie masz dla niego nic bardziej pewnego nad to, co widzi i słyszy, co czuje, czego doznaje, czego doświadcza. O wszystkiem można wątpić, wszystkiemu można zaprzeczyć, ale nie podobna ani wątpić, ani zaprzeczyć temu, czego się doświadcza bezpośrednio, co się czuje, czego się doznaje za pośrednictwem zmysłów. Żadne z naszych bezpośrednich doświadczeń nie wymaga dowodu, bo jest widocznem samo przez się, co więcej, nie może nawet być dowiedzionem, bo jest prawdą pierwszą i nie daje się sprowadzić do żadnej innej. Przeciwnie one to, bezpośrednie doświadczenia — służą za dowód wszystkiego, całej naszej wiedzy. One bowiem są ostatecznemi pierwiastkami wszystkich naszych pojęć, sądów i wniosków nawet najbardziej oderwanych, zdających się z pozoru należyć do sfery, która nie ma nic wspólnego ze zmysłowemi wrażeniami i ze stanami naszego umysłu. I wszystkie nasze teorje i hipotezy o tyle tylko mieć mogą naukawą wartość, o ile dadzą się sprowadzić do konkretnych form doświadczenia, o ile wyrażają w oderwanej formie pewien, doświadczeniem dający się sprawdzić, stosunek między zjawiskami, albo całemi grupami zjawisk rzeczywistego świata.

Samo więc tylko doświadczenie, będące pewnikiem niezaprzeczalnym, widocznym i nie potrzebującym dowodu, może być uznane za źródło naszej wiedzy. Jakoż ono jedno tłómaczy nam w sposób naturalny najzawilsze nasze pojęcia i wyjaśnia drogi, jakiemi umysł nasz przychodzi do poznania rzeczywistości i do rozwiązania nastręczających się w niej zagadnień.

Pozytywizm, będąc w gruncie rzeczy niczem innem, jak metodą doświadczalną, ma wiele wspólnego z sensualizmem, materjalizmem i empiryzmem, z któremi też zwykle branym jest za jedno, jakkolwiek różnice między niemi nie mniejsze są od ich podobieństw. Podobieństwo ich polega głównie na tem, że mają wspólny punkt wyjścia—doświadczenie; w dalszym atoli przebiegu rozchodzą się i oddalają od siebie, każdy rozwijając się we właściwym sobie kierunku. Pozytywizm różni się od sensualizmu tem, że przyznaje umysłowi pewną stronę czynną, mocą której, odbierając wrażenia zewnętrznego świata, przerabia je we właściwy sobie sposób i układa z nich na podstawie upatrzonego w nich podobieństwa lub różnicy wszystkie formy myślenia. Od materjalizmu różni się tem, że w swych przypuszczeniach i hipotezach trzymając się gruntu rzeczywistego, zakreślonego doświadczeniem, unika metafizycznych zaciekań się nad istotą rzeczy,

oraz, dążąc do uporządkowania i zjednoczenia naszej wiedzy w organiczną całość, nigdy nie traci z oka napotykanych różnic i dla tego te tylko zjawiska łączy w jedną całość, które same się do tego nadają mocą wyraźnego z sobą powinowactwa. Zamiast zacierać różnicę, jaka zachodzi między objawami cielesnemi a umysłowemi, jak to robią materjaliści, pozytywizm różnicę tę uwidocznia i stawia ją we właściwem świetle. Od empiryzmu różni się tem, że nie poprzestaje na gromadzeniu faktów i fakcików, ale stara się za ich pomocą wykryć prawa, któremi się rządzą tak oddzielne grupy zjawisk, jak i cały wszech świat. To też fakty dla niego znaczą tylko tyle, o ile mogą mu posłużyć za klucz do odcyfrowania praw natury. Uznając doświadczenie za jedyną podstawę swych badań, nie trzyma się on bojaźliwie jego poziomu, jak kura grzędy, lecz lotem orła wzbija się ponad nie w górę, by ztamtąd jednym oka rzutem objąć całość i uszykować w myśli niepowiązane z sobą szczegóły. W robieniu przypuszczeń, hipotez, jest on nie mniej śmiałym, jak każdy racjonalizm, z tą wszakże różnicą, że gdy hipotezy spekulacyjnej filozofii są dziełem fantazji, nie oglądającej się na rzeczywistość i bujającej wśród chmur bliżej księżyca, niż ziemi, to hipotezy pozytywizmu, mimo pozornego zuchwalstwa i awanturniczości, nigdy nie tracą z oka faktów i wznoszą się po nad nie tylko tak wysoko, ile na to pozwala ścisła logika. Hipotezy jego, ściśle rzecz biorąc, nie są czem innem, jak symbolicznem przedstawieniem pewnego, sprawdzonego przez doświadczenie stosunku między zjawiskami bądź życia ludzkiego, bądź zewnętrznego świata. Głównem ich zadaniem sprowadzić napotykane w tłómaczeniu praw świata mnogie nieznane do jednej, ktoraby je wszytkie w sobie zawierała, jako swe konsekwencje.

Teraz, kiedyśmy już poznali, czem jest pozytywizm a czem nie jest, łatwo nam będzie rozprawić się z robionemi mu z różnych stron zarzutami. Naturalnie mówi się tu o tych tylko zarzutach, z jakiemi występują przeciw niemu ci, co mają na względzie nie naukowy interes, ale sprawę narodową. Ta bowiem musi nas głównie obchodzić. Zresztą na główne zarzuty, robione pozytywizmowi ze strony naukowej, znajduje się już odpowiedź w tem, co wyżej powiedziano.

Wszystkie w ogóle zarzuty uderzają głównie w to, że pozytywizm zagraża praktycznemi swemi następstwami narodowemu bytowi. Dla czego? Najprzód dla tego, że opierając moralność na utylitaryzmie, tłumi ducha ofiarności, wystudza serca ze szlachetnych uczuć i zaprowadza panowanie ślepego egoizmu; powtóre dla tego, że biorąc wszystko pod kredkę zimnego rozumu, odmawia praw bytu wszystkiemu, co płynie z serca, co jest dziełem uniesienia, zachwytu, a tem samem potępia poezję i obala narodową tradycję—dwa główne filary, na których opiera się byt narodowy; po trzecie, wierząc tylko temu, co mu zmysły podają, odrzuca osobowość, a więc i nieśmiertelność duszy ludzkiej, tudzież opatrznościowy kierunek dziejów, i w ten sposób podkopuje religię, która jest jedynym węzłem społecznego porządku.

Jak widzimy, są to zarzuty nie lada i jeżeli pozytywizm nie potrafi z nich się oczyścić, będziemy musieli go potępić wraz z najzaciętszymi jego nieprzyjaciółmi. Dla tego też posłuchajmy uważnie, co on może powiedzieć na swą obronę.

Pozytywizm w rzeczy samej opiera moralność na utylitaryzmie, ale ztąd jeszcze nie wypada wnosić, by miał propagować egoizm. Zalecany bowiem przez niego utylitaryzm różni się od tego, jakim się kieruje kupiec i rzemieślnik w sprawach swego fachu, jak go nareszcie pojmuje ekonomia polityczna ze szkoły Adama Smitha, opierająca ekonomiczne stosunki na osobistym interesie jednostki, czyli po prostu na egoizmie. Pozytywizm odróżnia jak najdokładniej grupę uczuć, stanowiących podstawę *egoizmu*, czyli miłości siebie, od grupy uczuć, pochodzących z miłości drugich, *altruizmu*. A jakkolwiek miłość siebie uznaje za uczucie pierwotne, miłość zaś drugich za pochodne, temu ostatniemu przyznaje wyższość już dla tego samego, że uważa je za konieczny wynik rozwoju natury ludzkiej, za główny objaw postępu, tak sprzągnięty z warunkami cywilizacji, że w odłączeniu od siebie ani istnieć, ani nawet pojąć się nie dadzą. Zasada utylitaryzmu, jak go rozumie pozytywizm, nie jest czem innem, jak żądaniem, ażeby wszelkie nasze działanie miało jakiś cel na oku, przynosiło jakąś korzyść bądź nam samym, bądź bliźnim, albo też społeczeństwu. W zastosowaniu do moralności, znaczy to tyle, ażebyśmy się zawsze zastanawiali, o ile swem postępowaniem czynimy zadość nie dobru bezwzględnemu, które jest czczą abstrakcją, ale dobru rzeczywistemu, istotnym potrzebom bądź całego narodu, bądź pojedyńczych jego członków. Zwykłemi pobudkami naszej ofiarności są albo ślamazarna litość, dająca się oszukiwać na każdym kroku, albo dziecinne upodobanie we wszystkiem, co świeci pozorami, co jest pięknem i szlachetnem bez względu, czy to piękne, za którem tak gonimy, zdoła zadośćuczynić najnaglejszym potrzebom narodu, czy to szlachetne, któremu niesiemy w ofierze nasze siły i mienie, da się urzeczywistnić w tych warunkach, w jakich nasze społeczeństwo się znajduje. Tego rodzaju ofiarność uważa pozytywizm za czyste marnotrawstwo, a nawet za egoizm, ma się w niej bowiem na uwadze nie pożytek, jaki z niej powinien spłynąć dla narodu lub bliźniego, ale zaspokojenie własnych potrzeb, uczucia litości, estetycznych upodobań albo po prostu gorącości krwi. Taką to ofiarność i opierającą się na niej moralność potępia pozytynizm, ale nie potępia ofiarności rozumnej, mającej zawsze dobro ogółu na celu, nie potępia współczucia dla ludzi nieszczęśliwych, ale dobrej woli, ani też litości dla nędzy, spowodowanej występkami, a choćby nawet zbrodnią. Miłość bowiem bliźniego, poświęcenie się dla idei, dla ogólnego dobra uważa pozytywizm za czynniki, które największą korzyść przynoszą narodowi, za cechy, które jak najwymowniej świadczą o wyższym stopniu oświaty tak jednostki, jak całego społeczeństwa.

Co się tyczy zarzutu, oskarżającego pozytywizm on podciąganie wszystkiego pod kredkę zimnego rozumu, to muszę oświadczyć z góry, że jest o pozbawionym wszelkiej podstawy. Jakoż pominąłbym go całkiem milczeniem, gdyby nie to, że w sprawach, w których idzie o uchylenie niesprawiedliwego wyroku, niepodobna zostawić rzecz domyślności czytelników. Pozytywizm nie jest bynajmniej racjonalizmem, który z gotowemi, naprzód ułożonemi formułkami przystępując do rzeczywistości, wyrokuje o niej nie podług tego, co w niej jest, co w niej wykrywa drogą obserwacji i doświadczenia, ale podług tego, coby w niej być powinno na mocy jego formułek. Nie jest on także jakimś doktrynerskim radykalizmem, któryby zerwawszy z wyrobionemi w dziejach formami społecznego bytu, pragnął przerabić z gruntu całą rzeczywistość, chociażby przyszło się mu poczynać z jej objawami, pełnemi życia, tak, jak ze swemi ofiarami ów rozbójnik z greckich podań, co to ujętym przez siebie podróżnym ucinał nogi, albo je ze stawów wyciągał stosownie do tego, czy który z nich był dłuższym lub krótszym od jego łoża. Pozytywizm sądzi o życiu i o wszystkich jego objawach podług tego, jak one same mu się przedstawiają. Nie wydaje on zaocznych wyroków i zanim wypowie o czem swe przekonanie, stara się wprzód to zbadać, o ile na to pozwalają dane, jakich mu dostarcza doświadczenie.

Pozytywizm umie doskonale ocenić wartość i znaczenie tradycji w życiu, ale właśnie dla tego nie może się zgodzić na to, by miano zaliczać do tradycji wszystko, co stanowi narodowa przeszłość, bez względu, czy to są cnoty i zalety, czy wady i przesądy, nie może się zgodzić by tradycja w całej swej rozciągłości miała być dla nas nienaruszalnym dogmatem, którego byśmy musieli się trzymać ślepo, bez względu na to, czy ten jej szczegół odpowiada wymaganiom czasu, zaspokaja naglące nasze potrzeby, czy tamten nie przeszkadza nam w osiągnięciu naszego zadania. Ceni on również wysoko poezję, gdyż wie, jak potężnym jest ona czynnikiem w dziejowym rozwoju narodu. Ale wie także, że odpowiada ona wtedy tylko swemu zadaniu, gdy jest pochodnią, rzucającą światło w około siebie, lecz nie zwodnym ognikiem, powstającym z błotnych wyziewów; gdy jest tęczą przymierza, podnoszącą w narodzie wiarę i nadzieję w przyszłość, ale nie mydlaną bańką, świecącą tysiącem kolorów na zewnątrz, lecz wewnątrz czczą i próżną!

Zarzut trzeci podejrzywający pozytywizm o antireligijne dążności jest tak samo niesłusznym, jak i dwa poprzednie. Źródłem jego jest niedokładne odróżnianie tego, co stanowi treść wiary, od tego, co należy do zakresu poznania, nauki. Pozytywizm nie obala religji, gdyż wie z historji, że religja jest jednym z najpowszechniejszych obiawów dziejowego życia, jest jednym z najpotężniejszych czynników powszechnej oświaty. To też przez usta jednego z najwymowniejszych swych przedstawicieli powiada on, że najgorsza religja jest jeszcze lepszą dla narodu od żadnej. Z tem wszystkiem nie może on uznawać religji za coś więcej, jak za zwyczajny i naturalny czynnik dziejowy, na równi z nauką, z poezją, polityką itd., nie może się zgodzić na to, by dozwolonem było religji zagarnąć pod swe panowanie wszystkie strony narodowego życia i zaabsorbować tym sposobem wszystkie dziejowe czynniki. Jak nauka, polityka, poezja itd., tak religja ma właściwy, ściśle oznaczony zakres działania i wspólnie z innemi czynnikami ma ułatwiać narodowi spełnienie jego dziejowego posłannictwa, jakie mu przypada z udziału w powszechnej oświacie. Nauka, postępująca drogą doświadczenia, jedyną, która ją zabezpiecza od zbłądzenia, nie ma żadnych danych, by mogła rozstrzygać takie zagadnienia, jak o osobowości duszy, jej nieśmiertelności, o opatrznościowym kierunku dziejów itd. Są to przedmioty wiary, opierające się na uczuciu i muszą być zostawione indywidualnemu każdego przekonaniu. Nauka ani stwierdzać ich, ani obalać nie może, gdyż na to nie ma żadnych danych. Dla niej dostępnemi są tylko zjawiska i ich prawa, czyli stosunki. Między zjawiskami, któremi się objawia

życie ludzkie, wykrywa ona dwa ich rodzaje, różne od siebie i nie dające się sprowadzić do wspólnego mianownika. Jedne z nich nazywa zjawiskami cielesnemi, drugie umysłowemi. Na tem odróżnieniu musi ona poprzestać, idąc bowiem dalej, utrzymując, że w podstawie zjawisk cielesnych jest osobny byt, zwany materją, w podstawie zaś zjawisk umysłowych osobny byt, zwany duszą —przekroczyłaby granicę, jaką jej zakreśla doświadczenie, zapuszczałaby się w sferę, kędy wiara i uczucie panują. Nauka zna tylko organizm ludzki, materja zaś i dusza są dla niej wyrazami, nic innego nie oznaczającemi, jak dwa szeregi zjawisk, które, lubo wiele mają wspólnego, różnią się od siebie tak dalece, że mięszać ich z sobą i brać za jedno nie można.

Jeżeli naukowe wyniki sprzeciwiają się temu lub owemu mniemaniu religijnemu, jeżeli np. wbrew przekonaniu wielu, nauczają one, że meteorologiczne i geologiczne zjawiska nie są objawem gniewu bożego, ale koniecznym wypadkiem praw natury, że w dziejach ludzkości wszystkie wydarzenia rozwijają się na zasadzie przyczynowości, że słowem, ani w świecie fizycznym, ani w życiu ludzkości nie masz cudów, chociaż są zagadki, z których nie jedna czeka dotąd i może długo jeszcze czekać będzie na tłómaczenie—to za to nie naukę, nie pozytywizm należy obwiniać, ale chyba rzeczywistość, że ta nie jest urządzana tak, jakby to sobie życzyli wyznawcy tej lub owej religji, potępiać za to potrzeba chyba oświatę, że ta przenikając swym blaskiem w najdalsze kryjówki umysłu, rozprasza nocne ciemności, pod których skrzydłem mają swe schronienie wszelkiego rodzaju złudzenia i przesądy.

(C. d. n.)

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Dokończenie).

— Rebe! ja grzech niejeden mam na sumieniu mojem! Zdarzało się, że łachman nędzny ja za dobry sprzedałam, a kupując rzecz jaką dobrą, zapłaciłam za nią jak za nędzny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z tej strony, z której on cały i piękny był, a tę stronę, która była dziurawą i brzydką, chowałam jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, tej, co także łachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu swojem miałam, kłóciłam się i biłam z nią o lichy zarobek! Widzisz ty, rebe, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, — ale ty nie patrz na mnie za to co ja robiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, rebe, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! ja tego, bardzo boję się! Ulituj ty nad małem, niewinnem dzieckiem: Ono takie piękne i takie rozumne i takie jeszcze małe! Weź ty, rebe, wnuka mego pod opiekę swoją, jak tyle już dzieci biednych nieraz brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć się i rozum do swojej głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zabrakło! Ty dobry jesteś, rebe, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak wielka mądrość twoja, na cały świat słynie! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twem sercu!

Drżącej mowy starej kobiety rebe słuchał w milczeniu, z uwagą. Myślał potem chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! ja prośbę twoją spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zbiorę, do Talmud Tory go posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zbolała i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością niewypowiedzianą. Nagle zapłakała głośno, spazmatycznie prawie.

— Czegóż płaczesz? — zapytał rebe.

— O, rebe! przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojem... Nie ma u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on żyliśmy do tego czasu, jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek, i które ciągle na siebie patrzą, a jedna drugiej żyć dopomaga... Jak ty, rebe, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Kiedy ja obudzę się z rana, nie zaśmieją się już do mnie usta jego, a kiedy wieczorem do domu wrócę, szyi mojej ręce jego nie obejmą. Nie będą już nóżki jego biegać i skakać po mojej izdebce, a w ciemnościach nocnych nikt już nie zawoła do mnie: „Bobe! przyjdź i zabierz mnie do łóżka swego... niech ja rozgrzeję się pod pierzyną twoją... Pozwól ty, rebe, żebym przynajmniej często do domu twego przychodziła, i na niego patrząc pocieszała stare oczy moje...

Nazajutrz, do izdebki Chaity wszedł reb Nochim, i wziąwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże i jakim jest Reb Nochim? Zdziwicie się państwo, gdy powiem wam, że jest to mąż sławy niepospolitej. Nie słyszeliście nigdy o nim! Jeden to dowód więcej, że posiadając wiele wiedzy, można jeszcze o mnóstwie rzeczy nie wiedzieć. Reb Nochim słynie szeroko śród izraelskiego plebsu z uczoności swej, pobożności i miłosierności. Talmudystą jest on biegłym wielce, i naukę kabały studjuje z niezmordowaną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczów jego nic nie ma skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tem z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiej litościwości jego za to mam dowody niezbite, bo czyny jej i następstwa widziałam nieraz własnemi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie ubogie, odarte, głodne, które gromadami całemi przygarniał on ku sobie; widziałam starców niedołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę on dawał... Ale o tem mi mówić nie pora dziś. Teraz wspomnę o tym rysie usposobień rebe Nochima, które wywrzeć może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnej innej mowy, ani wyrazu jednego nie rozumie i nie wymówił nigdy. Pogrążony całkiem w studjach religijnych, w badaniu szczególniej tajemnic kabały, nad któremi praca, wierzajcie państwo, żartem wcale nie jest, nie miał on może czasu wyuczyć się języka panującego w kraju, który dla pra-pradziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że oprócz braku czasu, nieumiejętność ta rebe Nochima posiada jednę jeszcze przyczynę, którą, zdaje mi się, że raz własnemi dostrzegłam oczyma.

Było to niedawno temu. Idąc ulicą miasta, spotkałam przybywający do Ongrodu tabór cały pogorzelców. W pobliskiem miasteczku zgorzały wielu biednym ludziom domy ich i całe chudoby, i jechali oni teraz na wozach, odarci, wychudli, wpółnadzy, niektórzy nawet szli pieszo, a na obliczach wszystkich była nędza i rozpaczne o ratunek błaganie. Tabór ten posuwał się zwolna środkiem ulicy, a na chodnikach stały tłumy zamożniejszej izraelskiej ludności, przypatrującej się z ubolewaniem nieszczęściu spółbraci. Chodnikiem też, równolegle z taborem, postępował reb Nochim. Smutny stan nędzarzy tak go rozrzewniał, iż wielkie łzy jedna za drugą płynęły po ciemnych, zarosłych włosem jego policzkach. W dłoniach trzymał puszkę blaszaną i przed osobą każdą stojącą na chodniku wstrząsał nią, o jałmużnę dla pogorzelców prosząc. Nie prosił wprawdzie ustami, nie mówił nic, ale wymownie bardzo prosiły łzy jego i smutne, głębokie jego wejrzenie. Za każdym razem, gdy miedziana lub srebrna moneta z ręki czyjej w głąb puszki wpadła, reb Nochim dziękował dawcy skinieniem głowy, pełnem wdzięczności, i takim miękkim, błogosławiącym uśmiechem.

Kobieta jakaś, nie należąca do izraelskiego świata, przechodząc, rzuciła też pieniądz w puszkę reb Nochima. Reb Nochim nie podawał jej puszki swej, bo poznał od razu, że nie należała ona do plemienia tego, z którego pochodzili sunący środkiem ulicy nędzarze; lecz gdy nieproszona dar swój złożyła, orzucił ją bystrem spojrzeniem, w którem błysnęło twarde, niemiłe światło jakieś, wstrząsnął puszką swą tak silnie, jak gdyby chciał wyrzucić z niej pieniądz przez nią rzucony, i głową nie skinął i nie uśmiechnął się, i szybko i bardzo, bardzo szybko minął kobietę...

Byłam tam wtedy, moment ten pochwyciłam wzrokiem i pomyślałam zaraz o małym Chaimku. Być może jednak, że te lilje białe, na których przespał on noc jednę, że te niezabudki, które błękitnem wejrzeniem swem zdawały się mówić mu: „pamiętaj!“...

....Chaimek mieszka u rebe Nochima i uczęszcza do Talmund-Tory, ale wieczorami reb Nochim często sam go naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historji poczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to nie mała, gdyż rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studjów i modłów. Ale czegóż reb Nochim nie uczyni, gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakiemś malutkiem sercu wznieść może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj tedy, wieczorem, reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w nizkiej szarej izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż

z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole, a rękę podnosił w górę, wskazując niby niebo; dziecię z okrągłą, pojętną twarzyczką siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnemi rękami splecionemi na stole, wyprostowane, uważne, z dwo:giem wielkich oczu nieruchomie utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestetstwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą i rozrzewnioną. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Onegdaj właśnie opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc w niebieskich wrotach, pochwytuje modlitwy lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnej piękności, i splata z nich wieńce, który składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy i litości z zachwyceniem niezmiernem, i jakby ujrzeć go zapragnął, podniósł w górę swe oczy. Wtedy, nagle, przed pamięcią i wyobraźnią jego stanęła kobieta w białej sukni, ujrzana kiedyś na bulwarze miejskim, zobaczył schylającą się ku niemu twarz jej białą i łagodną, z szafirowem srebrzyście połyskującem okiem, i zapatrzony kędyś wysoko, głośno, z uśmiechem wymówił.

— Daj kwiatek!

Rebe Nochima zdziwiły bardzo nieznane mu wyrazy, które wymówiło dziecię i..

Lecz o reb Nochimie, życiu jego, naukach i tych dziwnych lub może i niedziwnych sprzecznościach, które istnieją w sercu i głowie jego, opowiem państwu kiedyś, później... jeżeli dowiem się, że historja o Chaicie i Chaimku zdobyć sobie zdołała przyjaźne wasze względy.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXXI.

Nie wdając się tutaj w przebieg spraw powstania, dodam, że pod naleganiem o działanie w Pazyżu i działanie co najprędsze, Leonard Chodźko zaczął bardzo skrzętnie zajmować się odżywieniem istniejącego na papierze komitetu franko-polskiego. Zrazu trudno to przychodziło, jednakże po usilnych zabiegach, ujrzał wytrwały pracownik ziszczone swe życzenia. Komitet franko-polski odnowiony w swym składzie stanął. Wielu dawnych czynnych członków już nie żyło. A nie wielu bardzo byli założycielami instytucji tej w 1831 roku. Jednakże miejsce brakujących zajęli inni ludzie wpływowi stojący na wybitnem stanowisku w społeczeństwie.

D'Harcourt wprawdzie był prezesem jak i dawniej, lacz wiceprezesem był *Odilon Barrot*, a sekretarzami *Datron* radzca honorowy, *Légouve* i *St. Marc Girardin*, członkowie akademji francuskiej, *Lasteyrie* i *Lafayette* Edmund wnuk jla. Mniej było członków niż dawniej, bo tylko 47; lecz w liczbie ich napotykamy członków akademji francuskiej: *Wołowskiego*, *Montalemberta*, sławnych dziennikarzy: *Bertin* dyrektora Journal *des debats*, *Delamarre* dyrektora *la Patrie*, *Guéroult z opinion national*, *Hawina* dyrektora *Siecle'a*, *Nefftzer* z *le Temps*, *Pillet d. Journal des villes et des campagnes Scudo* redaktora *Revue des deux Mondes*, Taksila *Delord* dziś jednego z głównych kierowników *Sieela*, *Foucher de Careil* co dowodził, że Lejbnitz był Polakiem, *Lanfrey*, Anatola *de la Forge*, Henryka *Martin*, *Chochin.* A do tego jeszcze dorzućmy: *Carnot*, G. *de Beaumont*, *Demarçay*, *Juvencel*, *Marie* i innych posłów i przedstawicieli ludu. Dodajmy *Cremieux* co po raz pierwszy w życiu zeszedł się z tem samem towarzystwem razem z *Chochin* i *Montalambertem.* A będziemy mieli obraz tej falangi co tak stanowczy głos zabierała za naszem powstaniem i która, jeżeli bezwiednie położyła koniec powstaniu przez to, że jej pięknym dowodom nasze arystokratyczne wstecznictwo ucha nadstawiało przysłuchując się bardziej pełnym współczucia słowom, niż grzmotom leśnych pukawek *zgraj powstańczych* przez nich zapomnianych; to z drugiej strony dało zachodowi pojąć jeszcze jedno usiłowanie do zrzucenia jarzma, a od czasu do czasu po dziś dzień podnosi w tych najpotężniejszych organach opinji powszechnej głos za ujarzmioną swobodą Polski.

Za godło wybrał sobie odnowiony ten komitet dwie chorągwie z herbem Francji cesarskiej i nadpisem *La France*, a drugą z orłem i pogonią i nadpisem: *Pologne, Lituanie et Ruthenie.*

Ukonstytuowany i odnowiony komitet natychmiast wydał odezwę a w niej pisze: *„Po Bogu i sobie samej*, Polska oczekuje odkupienia od Francji z nieprzełamaną nadzieją. Niestety! nadzieja wiele razy zawiodła! w 1807, 9, 12 gdy ona za pomoc nam z góry zapłaciła, zraszając krwią wszystkie pola bitew rzeczypospolitej i cesarstwa; później w 1831, gdy ona się podniosła dla zagrodzenia drogi do Francji carowi zamierzającemu rzucić się na nas, jako na przednią straż koalicji!“ Dla takich to powodów wznawia się komitet pomocy Polakom i „będziemy mieli jeden tylko okrzyk: Francja, cała Francja! jak nie ma innego okrzyku nad: *Polska całkowita! Polska 1772.* ....Trzeba ażebyśmy mogli powiedzieć przed władzą i przed Europą: my nie jesteśmy tylko większością, jesteśmy jednomyślnością, jesteśmy Francją.“

Adres podobny rozesłano do różnych krajów gdzie sięgał wpływ członków komitetowych, a wpływy te były nie małe. To też przy odgłosie walk naszych, po wszystkich krajach zbierały się pieniądze na pomoc sprawie powstania lub posyłały się adresy na ręce komitetu franko-polskiego. Rząd tylko narodowy jakby nie wiedział o tem i ani agenci pełnomocni, ani komitety nie odezwały się do tych komitetów w polskiej sprawie po Europie, pozostawiając innym utrzymanie stosunków. To też ta praca przeszła do komitetu franko-polskiego. On pisał, otrzymywał odezwy i drukował je.

Już w marcu zawiązał się komitet szwedzki pomagania sprawie naszej pod prezydencją Br. *Raab*, członka izby panów, a sekretarzem był Harald *Wisellgren*, bibljotekarz królewskiego księgozbioru. Składali go *Sehlman*, redaktor *Aftoublad* i członkowie izb wyższej i niższej: *Andersson, Nilsson, d'Espce, Blanche, Quanten, Tersmeden.* Br. *Staeel de Holstein, Uhr**), Wyliczywszy wspólne wypadki w przeszłości. „Jakże by więc serce Szweda, powiadają oni w adresie, nie uderzało gorąco dla narodu, który jak jeden człowiek podnosi się przeciwko obszernemu cesarstwu rossyjskiemu dla wywalczenia swej autonomji, prawa wolnego rozwoju, niezgodnego z despotyzmem; dla narodu co zaczyna od ogłoszenia zniesienia praw pańskich i niewolnictwa, tych dawnych grzechów głównych Polski, który upomina się o podniesienie prawdziwej Polski, to jest narodowości, dla której amnestja nie może być końcem tej walki rozpaczliwej. Sprawiedliwość Boża i stały *zamiar umrzeć w walce*, oto jedyna opora, na której dziś spoczywa okrwawiona Polska. Czyż Europa. . będzie wyczekiwała, aż Polska ujarzmiona wyszepce te boleśne słowa: do Boga wysoko, a do Francuzów daleko... Z tem wszystkiem w naszym kraju wszędzie podnoszą się jednomyślne okrzyki: niech żyje Pojska! A usta szwedzkie zanoszą do nieba *modlitwę wolności.*“

Rozesłano ten adres wszędzie do członków franco-polskiego komitetu**) i 5. maja wysłano odpowiedź nań. Z niego widać, że Francuzi nie wierzyli w pewność powodzenia: „Polska powstała, mówią oni, chociaż pozbawiona oręża, *ażeby zaświadczyć swą niewygasłą wierność do wiary ojczystej.* Dzieci jej nie pytały czy może być powodzenie, lecz gdzie jest ich powinność one szły na śmierć, jak na ucztę“. A dalej o Moskwie komitet się wyraża: „Moskwa nie spodziewa się wielkiej oszukać świata, ona próbuje go przestraszyć, przedstawiając Polskę ogniskiem obszernego spisku rewolucyjnego, przeznaczonego na wywrócenie Europy. Lecz naród, który ma jedną myśl, jedną duszę, nie spiskuje wcale; on wyczekuje lub bije się. Zatem jeżeli wszyscy obywatele szeregują się pod chorągwie niepodległości, jak śmią mówić o żądzach rewolucyjnych? Wy podzielacie to również, ponieważ chcecie powrócić Szwecji dawną całość torrytorjalną!“ itd.

I Szwajcarja nie pozostała w milczeniu. Tam również powstawały komitety pomocy sprawie naszej, a jedno z nich z 15. maja 1863 pisze z Zurychu*); „Komitet centralny helwecki chwyta za okoliczność przesłać braterskie pozdrowienie komitetowi franko-polskiemu, pracującemu jak i on dla zbawienia świętych praw narodu nieszczęśliwego i cywilizacji europejskiej. Lud szwajcarski, o ile byłyby małe jego środki, codzienne zaświadcza najżywsze współczucie dla świętej sprawy Polski i z niecierpliwością oczekuje chwili gdy ona wyjdzie zwycięzką. Żołnierze szwajcarscy, oddając się swym ćwiczeniom corocznym myślą także o patrjotach polskich, okrytych ranami i robią więcej niż poświęcenie ze swego żołdu dla przyjścia z pomocą braciom nieszczęśliwym. Po kościołach miast jak i wiosek rozlegają się pieśni w celu zebrania szlachetnych ofiarnic. Kobiety, dziewczęta aż do dzieci w szkolach dają swe obole. Jestto odgłos wielkich nieszczęść Polski i jej bezmiernych wysiłków dla odzyskania wolności,“ a wszystko to co się robiło w Szwajcarji w tym czasie dla sprawy polskiej było świadectwem jak wyznaje komitet, że „Szwajcarowie chcą mieć przekonanie, iż odrodzenie niepodległości polskiej jest nieodłącznem od równości cywilnej i wolności religijnej.“

---

*) *Adresse du comité centrale de sciede.* 19. kwietnia.

**) Z podpisem Harcourt, Vavin, Dutrane i Chodźko.

*) Tamże nr. 11—13. Podpisani na nim: prezes prof. *Voegell*, pisarz, radca stanu *Keler*, skarbnik *Stejner*, prof. Karol *Keller*, hr. *Plater*, W. *Neumann*, *Kelermann*, *Pertalozzi*, *Siber-Gysi*, *Szulzberger*, *Jł. Zangger*.

I na ten akt odpowiada komitet franko-polski*): „Ojczyzna Winckelried'a nie może pozostać nieczułą na wysiłki bohaterskiej Polski... Mamy nadzieję, że żądania komitetu helweckiego ziszczą się.“ A odpowiadając na wyrażenie, że Polska niepodległość jest nierozdzielna z równością obywatelską i wolnością religijną, przytaczając różne fakta, komitet franko-polski dodaje: „Na ostatek to w 1857 inicjatywa reformy uwłaszczenia włościan czyż nie należy całkowicie do szlachty polsko-litewsko-ruskiej i czy nie służyła za wzór dla reszty cesarstwa rossyjskiego?“ a dalej: „25.000.000 mieszkańców objętych Polską z 1772 i którzy walczą w tej chwili na obszernej przestrzeni i bądź z orężem w ręku, bądź swemi usiłowaniami i życzeniami patrjotycznemi dowodzą całe solidarności, jaka łączy Polakówi mają przekonanie niezachwiane, że staną się pierwszorzędną potęgą.“

Jak po 1831 roku tak i po 1863 zawiązały się w Belgji dwa komitety: centralny belgijski i lieżski. Oba one podały adresa do Polski. Belgijski centralny adres głosił:

„Sprawa Polski nie jest tylko sprawą prawa, wolności i międzynarodowej moralności, ona jest sprawą postępu, cywilizacji; przedstawia istotne zasady zachowania ludzkiego społeczeństwa. Rzeczywiście wśród kłopotów wieku, co dnia więcej się wyróżnia ale od wyznania spraw materjalnych; gdzie najwznioślejsze dążności częstokroć naginają się do wymagań afer, rachuby wygranych i strat, gdzie tylu ludzi podle poświęca wszystko i samych siebie z obawy *skompromitowania się*, w nadziei *wyniesienia*, osiągnięcia czegoś wśród haniebnego osłabienia, jakie wszędzie się objawia i które jest przypadkowem następstwem tych dążności realistycznych; Polska daje światu imponujący przykład najwyższego zaparcia; ona poświęca wszystko, wszystko, nic nie zatrzymując ze swej wiary, swego honoru i godności narodowej. Wzniosła to lekcja której tak potrzebował nasz czas i z której może być kiedyś skorzysta!... Sama, opuszczona przez Europę, okrążona nieprzyjaciółmi, Polska odrzucała jednak z pogardą ustępstwa, jakie jej ofiarowywali ciemiężcy za cenę jej milczenia i poddania się służalczego. Mówiono jej: „Bądź cichą, uznaj twe poniżenie; ty nie możesz więcej być wolną, ale będziesz bogatą i ty chcesz tego: zapomnij swej religji, swej historji, swego imienia, a będziesz miała kapitały, koleje żelazne, banki, mienie, i używalność. Dam ci te wszystkie rzeczy, jeżeli ty będziesz posłuszną“.

Lecz Polska podniosła oręż walki i nie ulękła się rewolucji. Belgowie więc rozumują: „*Lecz co powiadamy rewolucji. Są ludzie co przestraszają się tym wyrazem?* Dobrze; nie — to nie jest rewolucja, jestto najprawowitsza restauracja, czyn najkonserwatywniejszy i dotąd przedstawiający się... Każdy raz, dzieje to mogą zaświadczyć i opatrzność również tak chciała, każdy raz gdy ludzkość zapominając siebie wpada w zepsucie i despotyzm, podnosi się ona poniekąd przez energiczną protestację na korzyść ludzkiej godności, na zaszczyt naszej przyrodzie. Takie prawo wypełniające się od czasów najdawniejszych, od Machabeuszów do towarzyszy *Spartakasa*, od Messeńczyków walczących przez 3 wieki z hypokrytycznym liberalizmem Lacedemończyków aż do chrześciańskich męczenników, domagających się prawa sumienia wśród Romy upodlonej w jarzmie cezarów. Za dni naszych taka jest i misja Polski, a czy ona zatryumfuje, czy też upadnie wypełniając ją, jej imię nie mniej będzie błogosławione i sławne dla nas; ponieważ ona, nie tylko zaświadcza swą narodowość wobec królów i narodów, ale również wobec naszego wieku pieniędzy wypełnia zapoznane obowiązki i cnoty, które ten nazywa przesadą, dziecińtwem, nierozumem, chociaż one robią człowieka wolnym obywatelem i są pierwszym warunkiem niepodległości narodu. Ona zaświadcza dumę duszy, stałość w nieszczęściu, wierność chorągwi, męztwo bezinteresowne bez nadziei nagrody, wiarę w prawo niewymazalne, w wieczną sprawiedliwość pochodzącą od Boga, i we wszystkie zasady, które są życiem ludzkości.“

Przytoczyłem ten wyjątek, by pokazać jak pojmowali Belgowie naszą walkę w czasie jej trwania i niech to będzie na hańbę rodakom w stańczykowskich błazeńskich szatach lub sutannach jadowitego gada Loyolitów. W podobnym duchu napisany cały adres 30. maja 1863 w Bruxelli, a podpisani na nim: *Geudebien*, dawniejszy członek czasowego rządu, prezes komitetu, Jlr. M. de *Robiano* senator, wiceprezydent, L. *Jottrand* członek kongresu narodowego w Belgji, Al. *Picart* adwokat przy sądzie apelacyjnym. E. *Ducpetiaux* sekretarz komitetu belgijsko-polskiego w 1831 hr. E. de *Kerrekhowe*, *Hannaert* i *Brunner*.

Oni to wołali z zapałem: „Jeszcze raz cześć, szacunek i współczucie dla Polski w imieniu wszystkich ludzi wierzących w sprawiedliwość i wolność, w imieniu tych wszystkich którzy kochają swój kraj, w imieniu patrjotów belgijskich, którzy tyle są obowiązani temu bohaterskiemu i nieszęśliwemu narodowi! Ludzie 1830, z naszych wspomnień czy naszych uczuć, nie zapomnieliśmy że Polska nas zbawiła w tej epoce, zatrzymując dzikie wojska samowładzcy, gotowe się rzucić na nas, ażeby zadławić naszą rewolucję. Nie zapomnieliśmy, że tylu dzielnych synów Polski szło z honorem pod nasze chorągwie i nie opuściło ich dopóki nędzna dyplomacja nie wyrwała ich pomimo nas.“ Na adres ten Belgów nie odpowiadają Polacy, bo jak mówiłem, ich rządy czasowe i agentury wolały czyhać na co innego, a w zapasach o tytuły w nadziei archaniołów w żuawskich spodniach nie odpowiadano na takie bagatele. Więc znowu komitet franko-polski do Belgów 21. Lipca 1863 szle list następujący: „Jest zgodność między waszem położeniem i położeniem Polski po wypadkach Brukselskich wrześniowych 1830. Wobec Holandji Belgowie byli tem czem Polacy w obec Moskali po 29. listopada 1830. r. Polska powstając sprowadziła rozwiązanie się koalicji utworzonej na zaprowadzenie u was restauracji,“ a dalej dodaje: „Jeżeli niesprawiedliwość ludzi cięży nad ludzkością, sprawiedliwość boża jest wieczną i wcześniej lub później nadejdzie. W samej rzeczy, to co zachodzi w Polsce dzisiaj jest cudem, i walka Polaków prowadzi się z takiem zaparciem i utrzymuje się takiem męztwem, że powinna wywrócić wszelkie zapory. Nasze pokolenie było świadkiem wojen Grecji, Belgji, Włoch; narody te uzyskały swą narodowość, lecz pomimo swoje bohaterstwo czyż tryumfowałyby one, gdyby nie były wspierane przez różne mocarstwa europejskie?...“

Dowodząc konieczności takiego wdania się Europy i w naszą sprawę i potrzebę nawoływania jej ku temu, komitet fr.-pol. kończy: „Panowie! wypełniajmy misję, którą wyłacznie nasze komitety obciążone, a będziemy mogli jeszcze być obecnymi przy wskrzeszeniu starożytnej i sławnej Polski!“

Drugi belgijski komitet w Lież (*Liége*) złożony był z ultramontanów, pod przewodnictwem Ryszarda *Lamarche'a*, a pisarzem był J. *Moreau*. Adres tego *komitetu katolickiego lieżskiego*, pisany był jako dowód, że „cierpienia narodu który walczy o swą niepodległość i o łącznie swą wiarę powinny znaleźć odgłos wymowny na ziemi belgijskiej, która urzeczywistniła szczęście ojczyzny w związku religji z wolnością“. Wychodząc z takiego stanowiska objawia komitet, że: „z bolesnem zajęciem śledzimy wszelkie fazy tego okropnego krwawego dramatu. Najświętsze bowiem sprawy poruszone w tej strasznej walce; dla Polaków narodowość nie jest tylko słowem chwalebnem i dźwięcznem, które wyzyskują w nienawiści zarozumiali menerzy lub bezbożni sektarze; ale jest sprawą, od której ojczyzna otrzymuje odblask do swych ilustracji, a religja aureolą uznania, jest to sprawa, codziennie przed naszemi oczami roztaczająca najbardziej bohaterskie zaparcie się i najwznioślejsze poświęcenia.“ Z tych powodów komitet lieżski wołał: „Połączmy się więc w tej ogólnej myśli i nie przestawajmy udzielać mężnego poparcia usiłowaniom naszych braci Polaków, aż do dnia, w którym ujrzymy Polskę odzyskującą swe stanowisko pośród ludów wolnych i wiekowego posłannictwa przedniej straży cywilizacji katolickiej.“**)

Na to znowu odpowiada centralny komitet franko-polski wypowiadając, że zasada narodowości wszędzie prawowita, przeznaczona wszędzie podłożyć podwaliny, na których nowa Europa odbuduje się, jest przedewszystkiem świętą jeżeli rozwija we własnej obronie wszelkie inne zasady ludzkiego społeczeństwa, jeżeli patrjoci, przywoływując ją nie tylko używają w walce z niesprawiedliwością cudzoziemskiego panowania, ale z barbarją spiknętą przeciwko wszystkiemu co ludzie czczą... W Polsce dziś obywatele mrą za wolność wiary, jak księża umierają za wolność ojczyzny, ponieważ wszystko połączono w bohaterstwie oporu jak i we wściekłości najazdu. Charakter tej wzniosłej rewolucji oznaczony historją pierwszych jej dni, dni, w które, w obliczu batalionów despoty myślących zesłużalczyć dusze i ciała, księża katoliccy, protestanccy i starozakonni podali ręce na placu publicznym w Warszawie i razem przywoływali wspólnego Ojca i wolność dla wszystkich.“

W tymże czasie komitet franko-polski ogłosił broszurkę pod tytułem: Prawdziwa cecha powstania polskiego w 1863 (*Du veritable caractère de l'insurrection polonaise A. 1863*. Paris 1863. Dentu) przez William-Smith *O'Brien*. Autor przejechał Polskę, widział walkę i okrucieństwa moskiewskie i z Królewca opisywał je w liście do *Duepetiaux* w Bruxelli. Zdanie Irlandczyka nie mogło nie oddziaływać na zachód; a zdanie to było pełne zapału dla walczących. (C. d. n).

Mój Ptak.

(z angielskiego)

Ptaszek i klatka piękne były — moje.
Ale oczyma pełnemi miłości
Ptak mój za morze patrzył. Niepokoje
Dzikie błyszczały w tych oczat jasności...
Wiecznie o kraty pierś rozbijał białą.

*) *Reponce du comité central Hélwetique pour les affaires de la Pologne*. Paris 14. Juillet 1863.

**) *Adresse du comité catholique liégeois au comité central franco-polonais* à Paris 18. jouillet 1863.

Mówiłem: ja mu tę klatkę ozdobię,
Miłą uczynię..., Czegoż mu nie stało?
Co tylko miłość zdoła, wszakże tobie
Ja daję... Ach! on nie zechce, nie może
Chcieć mnie opuścić!
Daremne pieszczoty!
Ptak mój oczyma pełnemi tęsknoty
Wiecznie pogląda w przestworze.

Więc — powiedziałem, zatrzymam go siłą.
Mam moc potemu. Zmuszę, gdy nie skłonię.
Niestety!... Przemoc sercu nie jest miłą,
Nie tem się czucia rozbudzają w łonie...
I siłą — skarbca duszy nie otworzę...
Mój ptak wciąż rwie się za morze.

Więc, rzekłem — wolnym bądź ptaku—bądź wolny.
Rozwiń twe piękne skrzydła... Któż miłuje
Pieśń, której śpiewak sercem czuć nie zdolny?
I to wejrzenie óczu, co w dal kołuje —
I tę — choć cudną pierś, gdy w jej piękności
Nie zadrga tętno miłości?...

I otworzyłem drzwi klatki szeroko —
Lecz — odwróciłem łzą omglone oko...
Człowiek jest słaby — nawet czasem na to,
Co świat powiedzieć może...,
Okrzyk siłą,
Radości pełny, zabrzmiał — i skrzydlatą
Ujrzałem błyskawicę... ach!
Resztę serce domówiło.

Mój ptak nie wróci nigdy. Czegoż płaczę?
Wszak to co kocham — znalazło swe niebo.
Nie wróci nigdy — wiem. Ale potrzebą
Serca — jest kochać — i dobrem niezbytem.
Kocham! i siebie nie pomnąc — przebaczę.
Wszystko!
Miłości to szczytem.

Jerzy Horwat.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Od proboszcza z Saint-Nizier.

Boże! jakże dobrze nam było tej nocy w pokoju Jakóba! Jakie wesołe promienie od kominka padały na nasz obrus! A to stare zapieczętowane wino, jaki zapach fiołków wydawało! A ten pasztet, co za piękna skórka złocisto-brunatna była na nim! Ah! nie robią już teraz pasztetów takich; nie będziesz już nigdy pił takiego wina, mój biedny Eyssette!

Z drugiej strony stołu, wprost naprzeciw mnie, Jakób nalewał mi wino; za każdym razem, kiedy podnosiłem oczy, spotykałem wzrok jego czuły jak u matki, uśmiechający się do mnie. Ja tak byłem szczęśliwy, że istotną miałem z tego powodu gorączkę. Mówiłem, mówiłem bezustannie...

— Jedzże — mówił mi Jakób, napełniając talerz mój; ale ja wciąż gadałem i nie jadłem. Ażeby mię zmusić do milczenia, on z kolei począł mówić i jednym tchem opowiedział mi szczegółowo wszystko, co robił od roku, to jest od czasu jak rozstaliśmy się z sobą. Kiedy wyjechałeś — mówił mi — a trzeba wiedzieć, że najsmutniejsze rzeczy opowiadał zawsze ze swym anielskim uśmiechem rezygnacji — kiedy wyjechałeś, dom ostatecznie posmutniał. Ojciec przestał pracować; ciągle siedział w magazynie, przeklinając rewolucjonistów, a na mnie wołając, że jestem osłem, co wcale nie posuwało interesów naszych. Co rana zaprotestowane weksle, co parę dni odwiedziny woźnych; na każdy odgłos dzwonka serce nam biło. Ah! wyjechałeś w porę.

Po miesiącu tego strasznego życia ojciec wyjechał do Bretanji w interesie towarzystwa handlu winem, a pani Eyssette do wuja Baptysty. Sam wyprawiłem oboje w drogę. Domyślasz się, ile przy tem wylałem łez... Zaraz po ich wyjeździe, cała nasza ruchomość została sprzedaną; tak, mój kochany, sprzedaną na ulicy, w moich oczach, przed drzwiami naszemi; a nie uwierzysz, jak to smutno patrzeć na walące się ognisko, kiedy cegiełka za cegiełką odpada i znika. Trudno wyobrazić sobie, do jakiego stopnia wszystkie te przedmioty z drzewa lub materji, które mamy w domach naszych, stanowią cząstkę nas samych. Wiesz! kiedy wyniesiono szafę od bielizny, tę, co to na niej były Amorki różowe ze skrzypcami, chciałem gonić tego co ją kupił, krzycząc z sił całych: „Trzymajcie!“ Pojmujesz to, nieprawdaż?

Ze wszystkich mebli naszych zatrzymałem dla siebie tylko materac, krzesło i miotłę; miotła ta bardzo mi się przydała, jak zobaczysz później. Skarby te moje umieściłem w jednym kącie naszego domu przy ulicy Lanterne, czynsz zapłacony był jeszcze na dwa miesiące, i tak zostałem sam w tem wielkiem mieszkaniu, nagiem, zimnem, bez firanek. Ah! mój przyjacielu, jakże to było okropnie. Co wieczór, kiedy wracałem z biura, czułem jak mię przygniata smutek zawsze ten sam, a zawsze nowy, i jak gdyby zdziwienie, że między tymi czterma murami ja tylko jeden się znajduję. Przechodziłem pokoje jeden za drugim, mocno trzaskając drzwiami, by mieć hałas jakiś. Czasami zdawało mi się, że ktoś z magazynu woła na mnie, i odpowiadałem: „Idę!“ Kiedy wchodziłem do pokoju matki, zawsze wyobrażałem sobie, że znajdę ją smutnie siedzącą w fotelu przy oknie, z pończochą w rękach!...

Na domiar nieszczęścia, tarakany pojawiły się znowu. Te szkaradne małe zwierzątka, które z takim trudem pokonaliśmy byli za przybyciem do Lugdunu, dowiedziały się zapewne o waszym odjeździe i popróbowały nowego najazdu, bez porównania straszniejszego niż pierwszy. Z początku usiłowałem opierać się im. Wieczory całe spędzałem w kuchni, ze świecą w jednej ręce, z miotłą w drugiej, bijąc się jak lew, a swoim porządkiem płacząc naturalnie. Na nieszczęście, byłem sam tylko; napróżno podwajałem usiłowań, nie szło to już tak jak za czasów Anny. Zresztą, i tarakany także przybywały w większej liczbie. Jestem pewny, że wszystkie jakie były w Lugdunie, a Bóg jeden wie ile tam jest w tem wielkiem, wilgotnem mieście, powstały tłumnie i obległy dom nasz. Kuchnia zrobiła się czarna od nich, zmuszony byłem opuścić ją. Czasami przypatrywałem się im z przestrachem przez dziurkę od klucza. Było ich miliardy miliardów... Sądzisz może, iż te przeklęta zwierzątka poprzestały na tem! Nie znasz tych istot Północy. Jest to uosobienie grabieży! Z kuchni, pomimo drzwi i zamków wdarły się do sali jadalnej, gdzie postawiłem był łóżko moje. Takim sposobem zmusiły mię przenieść się wówczas do magazynu, potem do salonu. Śmiejesz się; chciałbym cię widzieć na mojem miejscu.

Z pokoju do pokoju, szatańskie tarakany wyparły mię wreszcie aż do naszego dawnego małego pokoiku w głębi kurytarza. Tu dały mi dwa lub trzy dni odpoczynku; nareszcie, pewnego poranka budząc się, spotrzegam setkę ich może, która cicho pełznie wzdłuż mojej miotły, podczas kiedy inny oddział w dobrym porządku maszeruje do łóżka mego... Pozbawiony broni mej, wyparty z ostatniego szańca, zmuszony zostałem wreszcie do ucieczki. Pozostawiłem tarakanom materac, krzesło, miotłę i umknąłem z tego obrzydliwego domu przy ulicy Lanterne, by nigdy już do niego nie wrócić.

Kilka miesięcy jeszcze przepędziłem w Lugdunie. Miesięcy bardzo długich, bardzo ponurych, bardzo opłakanych. W biurze nie nazywano mię inaczej jak świętą Magdaleną. Nigdzie nie chodziłem. Żadnego nie miałem przyjaciela. Jedyną rozrywką moją były twoje listy... Ah! mój Danielu, jaki ty masz śliczny sposób opowiadania! Jestem pewien, że gdybyś chciał, mógłbyś pisywać do dzienników. To nie tak jak ja. Wyobraź sobie, że zawsze pisząc pod dyktowaniem, stałem się o tyle tylko niemal inteligentny, co maszyna do szycia. Niepodobna mi nic z samego siebie wydobyć. Pan Eyssette miał słuszność, kiedy mówił: „Jakóbie, jesteś osioł.“ Zresztą, nie tak to bardzo źle być osłem. Osły są to poczciwe zwierzęta, cierpliwe, silne, pracowite, dobrego serca i silnych krzyżów... Ale wracajmy do mojej historji.

We wszystkich listach twoich mówiłeś mi o odbudowaniu ogniska i dzięki wymowie twojej, ja także zapaliłem się do tej wielkiej myśli. Na nieszczęście, to co zarabiałem w Lugdunie, wystarczało mi zaledwie na życie. Wtenczas to przyszła mi myśl wyjechania do Paryża. Zdawało mi się, że tu będę prędzej w możności dopomódz rodzinie i znaleść wszystkie materjały potrzebne do naszej znakomitej budowy. Podróż moja została przeto postanowioną; ale zanim ją przedsięwziąłem, pomyśliłem o środkach ostrożności. Nie chciałem spać na ulicy Paryża jak wróbel bez skrzydeł. To dobre dla ciebie Danielu; są przywileje stanu dla pięknych chłopców, ale dla mnie, wielkiego płaksy!

Otóż poprosiłem naszego przyjaciela, proboszcza z Saint-Nizier, o kilka listów rekomendacyjnych. Jest to człowiek bardzo dobrze widziany na przedmieściu Saint-Germain. Dał mi dwa listy, jeden do pewnego hrabiego, drugi do księcia. Jak widzisz, dobrze się zaopatrzyłem. Poczem udałem się do krawca, który zaufał mojej obiecującej powierzchowności i dał mi na kredyt piękny frak czarny i wszystko, co do tego należy: kamizelkę, spodnie i t. d. Listy rekomendacyjne włożyłem do fraka, frak do serwety i dalej w drogę z trzema luidorami w kieszeni: 33 franki na podróż, a 25 na wyczekiwanie w Paryżu.

Nazajutrz po przybyciu do Paryża, od godziny siódmej rano byłem na ulicy we fraku i w żółtych rękawiczkach. Niech ci to służy za naukę, mój Danielu, było to wielką śmiesznością

z mojej strony. O godzinie siódmej rano w Paryżu wszystkie czarne fraki śpią jeszcze, albo powinny spać. Ja, nie wiedziałem o tem, i z dumą obnosiłem ubranie moje po wielkich ulicach miasta zadowolony również ze skrzypiących trzewików nowych. Sądziłem, że wychodząc tak rano, prędzej się spotkam z Fortuną. Jeszcze jedna omyłka: Fortuna w Paryżu nie wstaje rano.

I tak udałem się na przedmieście Saint-Germain z listami rekomendacyjnymi w kieszeni.

Najprzód, poszedłem do hrabiego, przy ulicy Lille; potem do księcia, przy ulicy Saint Guillaume. I tu i tam znalazłem służących zajętych myciem dziedzińców i czyszczeniem dzwonków. Kiedy błaznom tym powiedziałem, że chcę się widzieć z ich panami, i że przychodzę od proboszcza z Saint-Nizier, zaczęli mi się śmiać w nos, bryzgając wodą aż pod nogi moje... Cóż chcesz, mój kochany? moja to była wina znowu: cyruliki tylko chodzą do ludzi o tej godzinie. Zapamiętałem to sobie.

Tak jak ciebie znam, jestem pewien, że ty na mojem miejscu nigdybyś się nie ośmielił pójść znowu do tych domów i narazić się na szydercze spojrzenie lokajstwa. Ale ja tegoż dnia jeszcze, po południu, z pewną miną udałem się tam znowu, i tak jak rano, żądałem od służby, by mię zaprowadzono do panów, mnie, co przychodziłem w imieniu proboszcza z Saint-Nizier. I dobrze wyszedłem na tem, żem był odważny; panowie ci przyjmowali właśnie i zaraz mię do nich zaprowadzono. Znalazłem dwóch ludzi i dwa zupełnie odrębne przyjęcia. Hrabia z ulicy Lille powitał mię nader zimno... Ja, z mojej strony, straciłem wszelką śmiałość w obec jego długiej, chudej postaci, a tak poważnej, że niemal uroczystej, i zaledwie na słów parę zdobyć się potrafiłem. On także nic prawie nie mówił do mnie. Spojrzał na list proboszcza z Saint-Nizier, włożył go do kieszeni, kazał mi zostawić mój adres i odprawił mię lodowatym giestem, mówiąc: — „Będę pamiętał o panu; nie potrzebujesz pan przychodzić tutaj więcej. Jeżeli znajdę cokolwiek, napiszę do pana."

Niech go djabli wezmą! Wyszedłem od niego przeziębły do szpiku kości. Szczęściem, na ulicy Saint-Guillaume przyjęto mię tak, że mi się serce rozegrzało. Znalazłem tam księcia w jak najlepszym humorze, okrągłego, wesołego, uprzejmego. A jak kochał swego kochanego proboszcza z Saint-Nizier! Jak wszystko, co od niego było mogło być pewnem dobrego przyjęcia na ulicy Saint-Guillaume!... Ah! dobry człowiek! poczciwy książę! Od razu staliśmy się przyjaciołmi. Ofiarował mi szczyptę tabaki z bergamotą, pociągnął mię za ucho wreszcie przyjaźnie poklepawszy po policzkach, odprawił dobremi słowy:

— Biorę na siebie pański interes. Wkrótce będę miał to, czego potrzebujesz. Tymczasem przychodź do mnie, ile razy zechcesz.

Odszedłem zachwycony.

Przez delikatność nie pokazywałem się u księcia przez dni dwa. Trzeciego znowu się pojawiłem w hotelu ulicy Saint-Guillaume. Wielki drab, ubrany na niebiesko i złoto, spytał mię o nazwisko. Odpowiedziałem mu z miną zarozumiałą:

— Proszę powiedzieć, że to od proboszcza z Saint-Nizier.

Powrócił w minut kilka.

— Książę jest bardzo zajęty. Przeprasza pana i prosi, byś raczył pofatygować się innym razem.

Pojmujesz łatwo, że nie miałem wcale urazy do tego biednego księcia.

Nazajutrz wróciłem o tejże godzinie. Zastałem wczorajszego drągala niebiesko-złotego; jak papuga siedział wysoko na ganku. Jak tylko spostrzegł mię z daleka, poważnie się odezwał:

— Nie ma księcia.

— Ah! bardzo dobrze! — odpowiedziałem, przyjdę innym razem. Proszę powiedzieć mu, że przychodził tu ten co to od proboszcza z Saint-Nizier...

Nazajutrz zjawiłem się znowu; dni następnych również, ale zawsze z tem samem niepowodzeniem. Jednego dnia książę był w kąpieli, drugiego na mszy, to grał w piłkę, to przyjmował gości — Gości! A to wyrażenie obelżywe! A ja? to nie jestem gościem?

Nakoniec, czułem się tak śmiesznym z mojem tem wiecznem: od księdza z Saint-Nizier, że nie śmiałem już mówić w czyjem imieniu przychodzę. Ale wielka papuga niebieska na balkonie z niewzruszoną powagą zawsze wołała za mną:

— Pan zapewne jest tym, co to przychodzi w imieniu proboszcza z Saint-Nizier?

Śmieszyło to bardzo inne papugi niebieskie, które spacerowały tam po dziedzińcach. Zgraja urwiszów! Gdybym mógł im tak porządną dozę kijów wyliczyć, już nie w imieniu proboszcza z Saint-Nizier, ale od siebie samego!

Tak upłynęło około dziesięciu dni od mego przyjazdu do Paryża, kiedy jednego wieczora, wracając strapiony z jednej z owych niefortunnych wizyt na ulicę Saint-Guillaume, postanowiłem sobie chodzić tam. dopóki mię za drzwi nie wyrzucą, znalazłem u mego odźwiernego maleńki list. Zgadnij od kogo?... list od hrabiego, mój kochany, od hrabiego z ulicy Lille, w którym zalecał mi, ażebym się niezwłocznie udał do przyjaciela jego, markiza d'Hacqueville. Ten potrzebował sekretarza!... Pojmujesz, jaka to była radość! a zarazem jaka nauka! Ten zimny, suchy człowiek, na którego tak mało rachowałem, zajmował się mną właśnie; a tamten, tak uprzejmy, tak grzeczny, kazał mi wycierać ściany przedpokoju swego i wystawiał, nie tylko mnie, ale i proboszcza z Saint-Nizier na pośmiewisko zuchwałych papug niebiesko-złocistych... Oto życie, mój kochany; w Paryżu prędko się tego nauczyć trzeba.

Nie tracąc ani chwili, pobiegłem do markiza d' Hacqeville. Jest to człeczyna stary, suchy, żwawy, wesoły i żywy jak pszczoła. Zobaczysz, jaki ładny typ. Głowa arystokratyczna, blada i delikatna, z włosami prostymi jak trzciny i z jednem tylko okiem. Drugie pchnięte niegdyś szpadą, dawno zagasło. Ale to co pozostało, tak jest błyszczące, tak żywe, tak mówiące, tak pytające, że nie można nazwać markiza jednookim. Ma dwoje oczu w jednem oku, nic więcej.

Kiedym stanął przed tym szczególnym starcem, zacząłem od pospolitych frazesów, zastosowanych do okoliczności; ale on przerwał mi wręcz:

— Bez frazesów — rzekł mi. Nie lubię ich. Przystąpmy do rzeczy. Postanowiłem napisać pamiętniki moje. Na nieszczęście wziąłem się do nich trochę zapóźno, nie mam zatem chwili czasu do stracenia, bo zaczynam starzeć się. Wyrachowałem, że poświęcając na to cały mój czas, będę potrzebował trzech lat jeszcze do ukończenia dzieła mego. Mam siedmdziesiąt lat, nogi odmawiają usługi, ale głowa dobrze trzyma się jeszcze. Mogę więc spodziewać się, że pożyję jeszcze trzy lata i że dokończę pamiętników moich. Tylko, nie mam ani chwili do stracenia; tego mój poprzednik sekretarz nie chciał zrozumieć. Głupiec ten — chłopiec bardzo inteligentny zresztą, byłem nim zachwycony — wpadł na szczególny pomysł: zakochał się i chciał się żenić. Nie było w tem nic złego. Ale trzebaż, dziś rano mój kawaler prosi mię o uwolnienie na dni dwa, na wesele swoje. A to dobre! dwa dni stracić! Ani jednej minuty.

— Ale panie markizie..

— Nie ma „ale, panie markizie"... Jeżeli odejdziesz na dni dwa, to odejdziesz zupełnie.

— Odchodzę, panie markizie.

— Szczęśliwej drogi!"

I poszedł nicpoń... Na ciebie, mój kochany chłopcze, rachuję, że mi go zastąpisz. Warunki takie: Sekretarz przychodzi do mnie rano, o godzinie ósmej; przynosi z sobą śniadanie swoje. Dyktuję do południa. W południe, sekretarz sam je śniadanie, bo ja nie śniadam nigdy. Po śniadaniu sekretarza, które powinno być bardzo krótkiem, bierzemy się znowu do roboty. Jeżeli wychodzę, sekretarz idzie ze mną; ma ołówek i papier. Dyktuję zawsze: w powozie, na przechadzce, na wizycie, wszędzie! Wieczorem sekretarz je obiad ze mną. Po obiedzie odczytujemy to, co dyktowałem przez dzień cały. Kładę się o godzinie ósmej, i sekretarz wolnym jest do dnia następnego. Daję sto franków miesięcznie i obiad. Nie wielkie to rzeczy, ale za trzy lata, po skończeniu pamiętników, będzie podarunek; podarunek królewski, jakem Hackeville! Wymagam tylko od sekretarza, by był akuratnym, by się nie żenił i łatwo pisał pod dyktowaniem. Umiesz pisać pod dyktowaniem?

— Oh! doskonale, panie markizie — odpowiedziałem, ledwie wstrzymując się od śmiechu.

Koniecznem w istocie było to prześladowanie losu mego, który chciał, bym całe życie pisał pod dyktowaniem...

— Dobrze, a zatem siadaj tam — odrzekł markiz. Oto papier i atrament. Natychmiast weźmiemy się do pracy. Stanąłem na rozdziale XXIV. *Moja kłótnia z panem de Villèle.* Pisz.

Tu zaczął mi dyktować piskliwym głosem, skacząc z jednego końca pokoju w drugi.

Takim to sposobem, mój Danielu, dostałem się do tego oryginała, który w gruncie jest bardzo dobrym człowiekiem. Dotychczas bardzo zadowoleni jesteśmy z siebie wzajemnie; wczoraj wieczór, dowiedziawszy się, że masz przyjechać, kazał mi zabrać z sobą tę butelkę starego wina. Taką codziennie podają nam przy obiedzie, ztąd możesz wnosić, jakie mamy obiady. Rano przynoszę z sobą śniadanie moje, i śmiałbyś się, wiedząc jak zajadam ser włoski za dwa susy na pysznym talerzu Mouslier'a i na serwecie z herbami. Nie przez skąpstwo robi to człowieczyna; nie chce tylko męczyć swego starego kucharza, pana Pilois, i dla tego nie każe mu gotować śniadania dla mnie... W ogóle, życie jakie tam prowadzę, nie jest wcale przykrem. Pamiętniki markiza bardzo są pouczające; dowiaduję się o panu Decazes'ie i panu Villèle mnóstwo szczegółów, które posłużą mi zapewne kiedyś. O ósmej wieczór jestem wolny. Idę do czytelni przejrzeć dzienniki albo dowiedzieć się, jak się ma przyjaciel Pierrotte. Czy pamiętasz przyjaciela Pierrotte? wiesz, Pierrotte z Sewennów, mleczny brat mamy. Dzisiaj Pierrotte nie jest już Pierrotte'm, jest to cały pan Pierrotte. Ma piękny magazyn

porcelany w pasażu Samnou; a że kochał bardzo panią Eyssette, więc i dla mnie dom jego stanął otworem. Podczas wieczorów zimowych, był to sposób przepędzenia czasu... ale teraz, kiedy ciebie mam, nie troszczę się już wcale o te wieczory.. Ani ty także, nieprawdaż, braciszku? O Danielu, mój Danielu, jakże jestem kontent! Jakże będziemy szczęśliwi!...

III.

Moja matka Jakób.

Jakób skończył swoją odyseę, teraz nastąpiła kolej na mnie. Gasnący ogień napróżno woła na nas: „Idźcie spać, dzieci.“ Napróżno świece wołają: „Do łóżka! do łóżka! Spaliłyśmy się już do samych profitek. Nie słuchamy was,“ — mówi do nich Jakób śmiejąc się, i gwarzymy dalej.

Pojmujecie, że to co opowiadam bratu, zajmuje go bardzo. Jest to życie tego Małego w kolegium Sarlande; to smutne życie, które czytelnik pamięta zapewne. Dzieci brzydkie i dzikie, prześladowania, nienawiść, upokorzenia, klucze pana Viot'a zawsze gniewne, mały pokoik pod strychem, gdzie tak duszno było, zdrady, łzy w nocy; a potem, bo Jakób tak jest dobry, że wszystko mu powiedzieć można, hulatyki w kawiarni Barbette, piołonówka z kapralami, długi, opuszczenie się zupełne, wszystko nakoniec, nawet samobójstwo i straszną przepowiednię księdza Germane: „Całe życie pozostaniesz dzieckiem.“

Z łokciami na stole, z głową na rękach, Jakób nie przerywając, słucha do końca spowiedzi mojej... Widzę, jak od czasu do czasu drży, i słyszę jak mówi: „Biedny mały! biedny mały!“...

Kiedy skończyłem, podnosi się, bierze mię za ręce i głosem tkliwym, drżącym powiada: „Ksiądz Germane miał słuszność, Danielu. jesteś dzieckiem, dzieckiem małem, niezdolnem do tego, by szło samo przez życie, i dobrześ zrobił, żeś się schronił do mnie. Od dnia dzisiejszego jesteś nie tylko bratem moim, ale i synem zarazem; ponieważ matka nasza daleko, ja zastąpię jej miejsce przy tobie. Czy zgadzasz się na to, Danielu? Czy chcesz, żebym był dla ciebie matką Jakóbem? Nie będę cię nudził, zobaczysz; proszę cię tylko o to, żebyś mi pozwolił iść zawsze obok siebie i trzymać cię za rękę. A wówczas będziesz mógł patrzeć na życie spokojnie, jak mężczyzna; nie zje cię ono.“

Za całą odpowiedź rzuciłem mu się na szyję: — O moja matko Jakóbie, jakże jesteś dobry! — I rozpłakałem się na jego ramieniu zalewając się gorącemi łzami i nie mogąc się powstrzymać od nich zupełnie tak, jak dawniej Jakób w Lugdunie. Dzisiejszy Jakób nie płacze już; studnia wyschła, jak sam powiada. Bądź co bądź, nigdy już płakać nie będzie.

W tej chwili, siódma wybiła. W oknach zajaśniało. Blade światło drżąc weszło do pokoju.

— Oto i dzień, Danielu — rzekł Jakób. Pora spać. Kładź się prędko... potrzebujesz wypocząć.

— A ty, Jakóbie?

— Oh! moje krzyże nie były dwa dni w drodze... Zresztą, zanim pójdę do markiza, muszę odnieść parę książek do czytelni, i nie mam czasu do stracenia... wiesz, że Hacqueville nie żartuje... Wrócę o ósmej wieczorem... Ty, jak wypoczniesz dobrze, wyjdziesz trochę na miasto. Nadewszystko zalecam ci...

Tu moja matka Jakób zaczyna mi zalecać mnóstwo rzeczy bardzo ważnych dla takiego jak ja przybysza; na nieszczęście, podczas kiedy on mówi, ja wyciągnąłem się na łóżku, i chociaż nie spię jeszcze, ale już myśli zaczynają mi się plątać. Zmęczenie, pasztet, łzy... Nie wiele mi już brakuje do zupełnego snu... Słyszę niewyraźnie, że ktoś mówi o pobliskiej restauracji, o pieniądzach w kamizelce mojej, o mostach, które mam przejść, o bulwarach, którymi trzeba iść, o policjantach, których mam pytać, i o dzwonnicy Saint-Germain-des-Près jako wskazówce drogi. W pół śnie, w jakim jestem pogrążony, dzwonnica ta Saint-Germain szczególnie wraża mi się w umysł. Widzę dwie, pięć dziesięć dzwonnic Saint-Germain, stojących koło łóżka mego jak słupy drożne. Między temi wszystkiemi dzwonnicami ktoś chodzi po pokoju, poprawia ogień, zasuwa firanki u okien, potem zbliża się do mnie, kładzie płaszcz na moich nogach, całuje mię w czoło i pocichu wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Spałem od kilku godzin, i sądzę, że byłbym spał aż do powrotu mojej matki Jakóba, kiedy odgłos dzwonu nagle mię obudził. Był to dzwon Sarlande, okropny dzwon żelazny, który bił jak dawniej: „Dig! dong! budźcie się! dig! dong! ubierajcie się!“ Jednym skokiem stanąłem na środku pokoju, i otwierając usta, miałem zawołać jak w sypialni kolegium: „Wstawajcie panowie!“ Ale spostrzegłszy się, żem był u Jakóba, parsknąłem śmiechem i zacząłem wesoło skakać po pokoju. Dzwon sąsiedniej pracowni miał głos tak suchy i dziki jak dzwon w Sarlande, i dla tego to podobieństwa przypomniało mi się kolegium. Ale dwon kolegium miał coś w sobie jeszcze ostrzejszego, jeszcze więcej żelaznego. Szczęściem, dwieście mil dzieliło mię od niego; mógł sobie dzwonić jak chciał, nie obawiałem się usłyszeć go więcej.

Poszedłem do okna i otworzyłem je. Tu znowu zdawało mi się, że ujrzę pod sobą podwórze oddziału wielkich, melancholiczne drzewa na niem i człowieka od kluczy przesuwającego się koło murów...

W chwili, kiedy otwierałem okna, południe biło wszędzie. Z wielkiej wieży Saint-Germain najprzód padło dwanaście uderzeń, i zaraz potem zadzwoniono na *Anioł pański*, jak gdyby w samem uchu mojem. Przez otwarte okno, ciężkie, grube dźwięki wpadały do pokoju Jakóba trójkami, tu pękały jak brzmiące bańki i cały pokój napełniały szumem. Na *Anioł pański* z Saint-Germain, inne *Anioł pański* odpowiedziały z Paryża rozmaitymi głosami... Jednocześnie promień słońca jak gdyby zwabiony całem tem dzwonieniem, przerźnął się przez chmurę i prześliznął się po dachach zwilżonych mgłą. Na dole, Paryż niewidzialny huczał... Przez chwilę patrzyłem na wieże, szczyty, kopuły błyszczące; potem nagle hałas miasta dochodzący do mnie wzbudził szaloną chęć zanurzenia się, zatopienia w tym hałasie, w tym tłumie, w tem życiu, w tych namiętnościach, i rzekłem do siebie w upojeniu: Idźmy zobaczyć Paryż!

IV.

Dyskusja nad budżetem.

Tego dnia nie jeden Paryżanin musiał mówić do siebie, siadając do stołu wieczorem: „Jakiego szczególnego człowieka spotkałem dzisiaj!“ W istocie, ze swemi nadto długiemi włosami, a nadto krótkiemi spodniami, ze swemi kaloszami, swemi pończochami niebieskiemi, swoją prowincjonalną miną i tą uroczystością chodu, właściwą wszystkim istotom zbyt małego wzrostu, ten Mały musiał być bardzo komiczny.

Było to pod koniec zimy, w jednym z tych dni ciepłych i jasnych, które często w Paryżu więcej są wiosennymi niż wiosna sama. Na ulicach pełno było ludzi. Trochę odurzony tym hałasem, szedłem nieśmiało tuż koło murów. Popychano mię, mówiłem: „przepraszam“ i czerwieniłem się cały. Bałem się szczególnie tego, bym nie miał miny prowincjonalnej. I dla tego nie zatrzymywałem się wcale przed oknami i za nic w świecie nie byłbym spytał o drogę. Szedłem jedną ulicą potem drugą; a zawsze prosto przed siebie. Przypatrywano mi się. To mię żenowało bardzo. Widziałem, jak oglądano się za mną, albo śmiano przechodząc mimo mnie; raz usłyszałem jak jedna kobieta mówiła do drugiej: „Spojrz na tego.“ Potknąłem się na te słowa... Mięszał mię także mocno śledzący wzrok policjantów. Na wszystkich rogach ulic to szatańskie ciekawe oko wlepiało się we mnie; daleko już byłem od niego, a jeszcze czułem jak goniło za mną, paląc mi plecy. W gruncie byłem trochę niespokojny.

Szedłem tak godzinę prawie aż do wielkiego bulwaru, zasadzonego cienkiemi drzewami. Było tam tyle hałasu, tyle ludzi, tyle powozów, że zatrzymałem się przestraszony prawie.

„Jak tu ztąd wydobyć się? — myślałem sobie. Jak wrócić do domu? Jeżeli spytam o dzwonnicę Saint-Germain-des-Près, śmiać się ze mnie będą. Będę podobny do zabłąkanego dzwonu, który wraca z Rzymu na wielkanoc.“

Chcąc się namyślić, co mam począć, zatrzymałem się przed afiszami teatru z miną człowieka mocno zajętego, wyborem widowiska na wieczór. Na nieszczęście afisze chociaż bardzo zajmujące najmniejszej nie dawały wskazówki co do dzwonnicy Saint-Germaine, mógłbym był stać tam aż do dnia ostatecznego, kiedy nagle Jakób stanął obok mnie. Zdziwiony był tak jak i ja.

— Jakto! to ty Danielu? Co tu robisz? wielki Boże!

— Jak widzisz, przechadzam się — rzekłem od niechcenia.

Poczciwy Jakób patrzał na mnie z uwielbieniem.

— Wszakże to już z niego Paryżanin, naprawdę!

W duszy bardzo byłem szczęśliwy, że był ze mną, i uczepiłem się ramienia jego z dziecinną radością, tak jak w Lugdunie, kiedy pan Eyssette przyszedł był po nas w nocy na statek.

— Jakto dobrze, żeśmy się spotkali, rzekł mi Jakób. Mój markiz stracił głos dzisiaj, a że na szczęście niepodobna dyktować giestami, więc mię odprawił do jutra... Skorzystawszy z tego zrobimy wielką przechadzkę...

To mówiąc pociągnął mię naprzód i tak idziemy zwiedzać Paryż, tuląc się mocno jeden do drugiego i dumnie ciesząc się, że jesteśmy razem.

Teraz, kiedy brat mój jest ze mną, ulica mię nie przestrasza. Podnoszę głowę wysoko z powagą godną trębacza od żuawów i pierwszy kto się zaśmieje... Jednakże niepokoi mię rzecz jedna. Jakób kilka razy spojrzał na mnie z politowaniem. Nie śmiem spytać go dlaczego.

— Wiesz, że twoje kalosze wcale ładne — rzecze do mnie po chwili.

— Nieprawdaż Jakóbie?

— Tak w istocie bardzo ładne... — Potem uśmiechając się dodaje — Jednakże, jak tylko będę miał pieniądze, kupię ci parę dobrych trzewików do nich.

Biedny drogi Jakób! Powiedział to bez żadnej złośliwej myśli, pomimo to po tych słowach jego, zupełnie straciłem humor. Uczucie wstydu opanowało mną znowu. Uczułem się śmiesznym wraz z kaloszami mymi, wobec tego słonecznego światła, co zalewało bulwar; wszystko, co mi Jakób mówi dobrego na rachunek mego obuwia, nie działa wcale na mnie i chcę natychmiast wracać do domu.

Wracamy, zasiadamy przed ogniem i resztę dnia spędzamy, paplając razem, jak dwa wróble na dachu... Pod wieczór puka ktoś do drzwi. To służący markiza z tłomokiem moim.

— Bardzo dobrze — mówi matka-Jakób — przejrzymy garderobę twoją.

Do licha! moją garderobę!...

Rozpoczyna się przegląd. Trzeba widzieć naszą minę komiczno-miłosierną przy tej czynności. Jakób klęcząc przed tłumokiem, wyjmuje z niego przedmioty jeden za drugim i jednocześnie ogłasza je w miarę tego.

— Dykcjonarz... krawatka... drugi dykcjonarz... patrzcie! fajka... to ty palisz fajkę! Jeszcze jedna... Boże! ile tu fajek!... Gdybyś miał tyle przynajmniej skarpetek... A ta gruba książka, co to jest?... oh! oh!... *Zeszyt pokut... Boncoyran 500 linji... Souberol, 400 linji... Boncoyran, 500 linji... Boncoyran.. Boncoyran...* Do kata! nie oszczędzałeś go, tego Boncoyran'a... Mniejsza z tem, zawsze jednak dwa lub trzy tuziny koszul więcej nam teraz przydałyby się...

Tu moja matka Jakób wydaje krzyk zdziwienia.

— Boże! Danielu... co ja widzę? Wiersze... to są wiersze... to ty zawsze piszesz wiersze?... jaki skryty! Czemużeś mi nigdy nie mówił o tem w listach twoich? Wierz przecie dobrze, że nie jestem profanem... I ja także, pisałem w swoim czasie poemata... Pamiętasz: *Religio! Religio! poemat w dwunastu pieśniach...* To tak, panie liryku, zobaczymy te twoje poezje...

— Oh! nie, Jakóbie, proszę cię. To nie warto.

— Wszyscy podobni do siebie, ci poeci, rzecze Jakób, śmiejąc się. No, siadaj tam i czytaj poezje twoje; a nie, to sam je czytać będę, a wiesz, jak źle czytam.

Groźba ta sklania mię do uległości; zaczynam czytać.

Są to wiersze, które napisałem był w kolegjum Sarlande, pod kasztanami na łące, gdziem dozorował uczniów... Dobre czy złe? Nie pamiętam już tego wcale; ale jakżem był wzruszony, czytając je Jakóbowi! Poezje, których nigdy nikomu nie pokazywałem... A w dodatku autor *Religjo! Religjo!* to nie lada jaki sędzia! A jeżeli wyśmieje mnie? Jednakże w miarę tego jak czytam, muzyka rymów upaja mię, i głos mój staje się coraz pewniejszy. Siedząc przy oknie, Jakób słucha mię nieruchomie. Po za nim, na widnokręgu, wielkie, czerwone słońce zachodzi, paląc szyby nasze. Na brzegu dachu chaty kot ziewa i wyciąga się, patrząc na nas; ma zmarszczoną minę członka stowarzyszenia komedji francuskiej, słuchającego trajedji... Wszystko to widzę z ukosa nie przerywając czytania mego.

Niespodziany tryumfie! Ledwie skończyłem, Jakób z zapałem rzuca mi się na szyję.

— O Danielu! Danielu! jakież to piękne! jakie piękne!

Patrzę na niego z niedowierzaniem.

— Na prawdę, Jakóbie, tak znajdujesz?

— Pyszne, mój kochany, pyszne!.... Kiedy pomyślę sobie, że wszystkie te bogactwa miałeś w tłumoku twoim, i nic mi o nich nie mówiłeś; to nie do uwierzenia!...

I moja matka Jakób zaczyna wielkimi krokami chodzić po pokoju, mówiąc do siebie i giestykulując. Nagle zatrzymuje się z miną uroczystą.

— Nie ma co wahać się, Danielu jesteś poetą, trzeba nim pozostać i jako poeta drogę życia torować sobie.

— Oh, Jakóbie, to bardzo trudno... Początki szczególnie. Tak mało zarobić można.

— Ba!ja pracować będę za dwóch, nie lękaj się.

— A ognisko, Jakóbie, ognisko, które chcemy odbudować?

— Ognisko! biorę je na siebie. Czuję się na siłach odbudować je sam jeden. Ty zaś wsławisz je; pomyśl sobie, z jaką dumą rodzice nasi zasiądą przy sławnem ognisku!...

Stawię jeszcze zarzutów kilka; ale Jakób ma odpowiedź na wszystko. Zresztą, trzeba wyznać, że bronię się słabo. Braterski zapał zaczyna mię ogarniać. Wiara poetyczna w mgnieniu oka wzrasta, i czuję już jak lamartinowska wena przebiega po całem ciele mojem... Jest jednakże punkt jeden, w którym na żaden sposób nie możemy się zgodzić z Jakóbem. Jakób chce, żebym mając trzydzieści pięć lat wszedł do akademji francuskiej. Ja energicznie opieram się temu. Co mi tam akademja! Stara to, przeżyta piramida egipska! Co mi po niej!

— Tembardziej wejść do niej powinieneś, — rzecze Jakób. — Trochę młodej krwi wlejesz do żył tych starych mumji... Wreszcie, pomyśl sobie, jak uszczęśliwisz tem panią Eyssette!

Co tu odpowiedzieć na to? Imię pani Eyssette jest to argument, na który nie ma odpowiedzi. Trzeba się poświęcić i włożyć zielony mundur. Niech będzie i Akademia! Jeżeli koledzy nadto mię nudzić będą, zrobię tak jak Mérimée, nigdy nie będę chodził na posiedzenia.

W czasie tej sprzeczki wieczór nadszedł, dzwony Saint-Germain grają wesoło, jak gdyby sławiąc wstąpienie Daniela Eyssette do akademji francuskiej — „Idźmy na obiad“, mówi matka Jakób; i dumny z tego, że się pokaże w towarzystwie akademika, prowadzi mię do kawiarni przy ulicy Saint-Benoit.

Jestto mała restauracja dla biednych, gdzie dla codziennych gości zastawiano w głębi table d'hôte. My jemy w pierwszej sali, wśród ludzi o sukniach wytartych, ludzi głodnych, którzy w milczeniu skrobią talerze swoje. — „Wszystko to prawie literaci“, — mówi mi Jakób po cichu. Na te słowa nie mogę się wstrzymać od melancholicznych uwag, ale nic o nich nie mówię Jakóbowi, bojąc się ostudzić zapał jego.

Obiad bardzo jest wesoły. Pan Daniel Eyssette (z akademji francuskiej) okazuje wiele dobrego humoru, a jeszcze więcej apetytu. Skończywszy jeść, bracia spiesznie wracają do dzwonnicy, i podczas kiedy pan akademik pali fajkę siedząc konno na oknie, Jakób przy stoliku mocno zajęty wielką pracą nad cyframi, które zdają się go mocno niepokoić. Gryzie paznogcie, gorączkowo kręci się na krześle, rachuje na palcach; wreszcie zrywa się nagle z okrzykiem tryumfu: „Brawo“ skończyłem

— Co, Jakóbie?

— Ułożyłem budżet nasz, mój kochany. A wierzaj mi, nie mała to rzecz. Pomyśl tylko, sześćdziesiąt franków miesięcznie na nas dwóch!...

— Jakto sześćdziesiąt?.... Sądziłem, że markiz daje ci sto franków.

— Tak, ale z tych posyłam czterdzieści miesięcznie pani Eyssette na odbudowanie ogniska.... Pozostaje więc tylko sześćdziesiąt franków. Za pokój płacimy piętnaście franków; jak widzisz to nie drogo; tylko sam muszę słać łóżko.

— Ja także słać je będę, Jakóbie.

— Nie, nie. To nie uchodzi dla akademika Ale wróćmy do budżetu.... Zatem 15 franków pokój, 5 franków węgiel, tylko 5 franków, bo sam chodzę po niego co miesiąc do fabryki; pozostaje 40 franków. Będziesz jadał w restauracji, gdzieś my byli dzisiaj; 15 susów bez deseru, i jak uważałeś nie bardzo to złe. Pozostaje ci 5 susów na śniadanie. Czy to dosyć?....

— Spodziewam się.

— Mamy jeszcze dziesięć franków. Z tych rachuję 7 franków na opranie. Jaka szkoda, że nie mam czasu! sam chodziłbym do pralni... Pozostaje 3 franki, którymi tak rozporządzam; 30 susów na moje śniadania... Ba! rozumiesz sam; codziennie doskonały mam obiad u markiza mego i nie potrzebuję tak pożywnego jak ty śniadania... Ostatnie trzydzieści susów przeznaczam na drobne potrzeby, tytoń, pocztowe marki i inne nieprzewidziane wydatki. Wszystko to razem czyni nasze sześćdziesiąt franków.... A co? Nieprawdaż, że dobrze wyrachowane?

I Jakób zachwycony, zaczyna skakać po pokoju; potem nagle zatrzymuje się z miną przestraszoną.

— Masz tobie! Trzeba przerobić budżet... Zapomniałem jednej rzeczy.

— Cóż takiego?

— A świeca?... Jakże będziesz pracował wieczorem, jeżeli nie masz świecy? Jestto wydatek konieczny, wydatek przynajmniej pięciu franków na miesiąc... Zkąd tu wydobyć te pięć franków?... Pieniądze przeznaczone na ognisko święte są i pod żadnym pozorem... A prawda! mam je. Miesiąc marzec zbliża się, a z nim wiosna, ciepło, słońce.

— A więc Jakóbie?

— A więc, Danielu, kiedy ciepło, to nie trzeba węgla; pięć franków węgla zamieniamy na pięć franków świec i zadanie rozwiązane... Nie ma wątpliwości, że jestem stworzony na ministra finansów... Co powiesz na to? Tym razem budżet mocno stoi i zdaje mi się, żeśmy niczego nie zapomnieli... Pozostaje wprawdzie jeszcze kwestja obuwia i odzienia, ale wiem już co zrobię... Codziennie mam czas wolny od ósmej wieczór. postaram się zatem o miejsce buchhaltera u jakiego małego kupca. Z pewnością przyjaciel Pierrotte znajdzie to dla mnie.

— Toście wy z sobą bardzo zaprzyjaźnieni ty i Pierrotte?... Często chodzisz do niego?

— Tak, bardzo często. Wieczorem słucham tam muzyki.

— Patrzcie! Pierrotte jest muzykalny.

— On! nie, ale jego córka.

— Jego córka!... To on ma córkę... Ho! ho! Jakóbie... A ładna jest panna Pierrotte?

— Oh! zawiele pytań naraz, mój mały Danielu... Innego dnia pomówimy o tem. Teraz już jest późno; idźmy spać.

I chcąc ukryć pomięszanie, w jakie wpra-

wiają go pytania moje, Jakób zaczyna słać łóżko troskliwie, jakby był starą panną.

Jestto wązkie żelazne łóżko, zupełnie podobne do tego, w jakiem spaliśmy obydwaj razem w Lugdunie, na ulicy Lanterne.

— Pamiętasz Jakóbie nasze małe łóżko w Lugdunie, kiedyśmy ukradkiem czytywali romanse, a pan Eyssette z łóżka swego wołał na nas najgrubszym swym głosem: „Gaście prędko, albo wstanę!“

Jakób pamięta to i wiele innych rzeczy jeszcze... Od wspomnienia do wspomnienia, północ bije w Saint-Germain, a my jeszcze nie myślimy spać.

— No!... dobranoc — mówi mi Jakób stanowczo. Ale w pięć minut później, słyszę jak parska śmiechem pod kołdrą.

— Z czego śmiejesz się Jakóbie?...

— Śmieję się z księdza Miron, wiesz, księdza Miron w szkółce kościelnej... Pamiętasz?...

— Naturalnie!...

I zaczynamy śmiać się i śmiać, gawędzić i gawędzić... Tym razem ja chcę być rozsądnym i mówię:

— Trzeba spać.

Ale w chwilę potem znowu zaczynam:

— A Rudy, Jakóbie, Rudy w fabryce... Pamiętasz go?...

I znowu śmiechy i opowiadanie bez końca...

Nagle silne uderzenie o ścianę przerywa nam mowę. Zmięszani milkniemy obydwaj.

— To Biała-Kukułka... — mówi mi Jakób na ucho.

— Biała-Kukułka?... Co to jest?

— Cyt!... nie tak głośno... Biała-Kukułka jest naszą sąsiadką... Skarzy się zapewne, że tak długo nie dajemy jej spać.

— Powiedz Jakóbie, co za śmieszne imię tej naszej sąsiadki... Biała-Kukułka! Czy młoda?

— Zobaczysz sam mój kochany. Jutro lub pojutrze spotkacie się na schodach... ale tymczasem, spijmy prędko... Biała-Kukułka pogniewa się znowu.

Poczem Jakób gasi świecę i pan Daniel Eyssette z akademji francuskiej usypia na ramieniu brata swego jak wówczas kiedy miał lat dziesięć. (C. d. n).

KORESPONDENCJE.

Paryż d. 19 października 1879.

Żyjemy tutaj ciągle pod wrażeniem świetnych uroczystości krakowskich. Nie ma zejścia, nie ma listu, bez opowiadania sobie najdrobniejszych szczegółów tego niezrównanego objawu ducha narodowego. Cieszymy się niemi jako wymownem świadectwem niespożytych sił Polski. Emigracja nasza, pochłonięta w zadaniach które stanowiły racją jej bytu, mało się zawsze zajmowała literaturą i sztukami pięknemi, mało też czytała dzieł Kraszewskiego; niektóre jego prace, bliżej obchodzące emigrację, rozmaicie były u nas sądzone. Wszyscy jednak, bez wyjątku, uwielbiamy w tym mężu jednego z najznakomitszych synów Polski, a uwielbiamy w nim nadewszystko niewyczerpaną miłość kraju, pracowitość i wytrwałość. Umiejmy tak jak on kochać swój naród, wytrwajmy tak pracowicie jak on, a pękną nawet najtwartsze okowy naszej niewoli. W uroczystości krakowskiej oprócz zasłużonego hołdu dla Jubilata, odbija się w pięknych kolorach druga chluba narodu, twórca obrazu, którego szczytna myśl tak jest polską, że ją tylko Polacy odgądnąć potrafili. Jego wspaniałomyślny dar jest także czysto polskim uczynkiem — on przypomina najświetniejsze momenta narodowego uniesienia i poświęcenia.

Z pod pióra lub współudziału pana Xawerego Korczak Branickiego — tak się sam teraz podpisuje, bez hrabiowskiego dodatku — wyszły tutaj w tym roku trzy dzieła rozmaitej objętości i wartości: 1) Kól Kore (głos wołającego) czyli porównanie Biblji, Talmudu i Ewangelji, przez rabina Eliasza Soloweyczyka, przekład dokonany pod kierunkiem pana Branickiego, a poświęcony przez tegoż „najukochańszemu siostrzeńcowi jaśnie wielmożnemu Prałatowi, Włodzimierzowi hrabiemu Czackiemu, 2) Brama pokuty, tłómaczenie Elegji historycznej rabina Herschel-Schossburg napisany w czasach buntu Chmielnickiego, za czasów Jana Kazimierza, a drukowany pierwszy raz w Amsterdamie w 1651 roku. Jest to broszura o 64 stronicach, poświęcona przez pana Branickiego drugiemu „jaśnie wielmożnemu hrabi a skoligaceniem najukochańszemu synowcowi Stanisławowi Tarnowskiemu, 3) oryginalne i bardzo poważne studja historyczne pod tytułem: „Les nationalites slaves“ czyli listy do przewielebnego Ojca Gagarina, ze zgromadzenia Jezusowego, a przyjaciela z lat młodzieńczych autora.

Dla polskiej publiczności było to prawdziwą niespodzianką widzieć magnata, którego życie oddane było dotąd na igraszkę fantazji, w wieku już znacznie podeszłym, zajmującego się nareszcie rzeczami poważnemi, wstępującego krokiem śmiałym i energicznym, w szranki myślicieli i badaczy spraw ludzkich, niewahającego się nawet naruszyć spokojności nieruchomego świata z którym go łączą rodzinne i społeczne węzły.

Pan Branicki zrozumiał, szkoda tylko że nieco za późno, że w naszym wieku, jedyna arystokracja której powaga i znaczenie zaprzeczeniu nie ulegają, zależy od wartości osobistej, od stanowiska jakie sobie kto swojemi przymiotami, zdolnościami i zasługami w społeczeństwie wyrobić potrafi — i że majątek jest jedynie usłaniem kwiatami drogi, która dla niezamożnych cierniami często bywa pokrytą. Być może że jego dobry przykład posłuży tym co po stolicach europejskich marnują moralne i materjalne zasoby bez żadnego użytku dla kraju. Może nie jeden z nich, zachęcony spokojem i zadowolnieniem jakie sprawia praca umysłowa i zdążanie do obranego celu, kiedy szczerze zbada swoje sumienie i siły, uczuje się zdolnym do wzięcia czynnego udziału w tej wielkiej a wszechstronnej pracowni, która się życiem narodowem nazywa. A doprawdy, pracowników nigdy tam nie będzie za wiele: literatura, sztuki piękne, gospodarstwo publiczne, zakłady naukowe i dobroczynne, są to zbyt rozległe niwy, ażeby każda zdolność, każda dobra wola, nie były tam z radością powitane, zwłaszcza w teraźniejszej chwili, kiedy z takiemi trudami walczyć musimy o nasz byt.

Ale gdyby pojawienie się pana Xawerego Branickiego na scenie piśmienniczej nie miało sprowadzić innych skutków, jak wywołanie albo raczej ożywienie rozpraw w tak ważnych przedmiotach, jak wolność sumienia, równo uprawnienie wszystkich warstw społeczeństwa i wyrobienie właściwych pojęć o naszej przeszłości, w stosunku zwłaszcza do przeszłości naszych nieprzyjaciół i naszych pobratymców, jużby zasłużyło sobie na wdzięczność wszystkich ludzi światła i postępu.

Dotychczasowe zasoby literackie pana X. B. nie są liczne, a jednak dosyć rozmaite. Szereg ich rozpoczynają dwie broszury finansowe, wydane po francusku w 1871, a podające projekt nałożenia podatku na kapitał nieruchomy w celu spłacenia haraczu niemieckiego. Przebija się i tam też piękny staropolski popęd duszy, którego Siemiradzki dał świetny przykład w Krakowie. Ale złożenie na ołtarzu ojczyzny ofiary z części majątku, ażeby ją w trudnej potrzebie poratować, nie przypadała widać do miejsca i czasu, bo nie zwróciła nawet na siebie uwagi. W 1876 pan X. B. wydał znowu broszurę francuską, o polityce przeszłości i o polityce przyszłości, czyli zarys konstytucji. Było to w chwili kiedy autor stawiał swoją kandydaturę na senatora francuskiego, co mu się zupełnie nie powiodło — tak broszura jak i kandydatura przebrzmiały bez echa — pozostał tylko nowy dowód, jak trudno cudzoziemcowi, chociaż by swoją naturalizacją tak brał do serca jak Pan X. B., zdobyć sobie wpływowe stanowisko w obcym kraju, dawać skuteczne rady a nie stanąć jasno i otwarcie w szeregach jakiego stronnictwa.

Być może, że to niepowodzenie wpłynęło na zwrot myśli autora w inną, właściwszą jego wykształceniu stronę, bo oto w trzech wyżej wymienionych pracach nie widzimy już zajmowania się sprawami francuskiemi, ale owszem interesowanie się bardzo poważne rzeczami polskiemi albo takiemi, które nas blisko obchodzą, jak świadczy znakomite jego dzieło „Les Nationalites slaves.“

Nie wiadomo jaki los spotka nowe prace literackie, któremi się nasz autor bardzo gorliwie zajmuje, to jedna zdaje się być pewnym, że jeżeli jego umysł pójdzie dalej kierunkiem obranym w narodowościach słowiańskich, zjedna sobie prawdziwą sławę pisarską a sprawie której broni, odda niezaprzeczoną przysługę. Rzadko bowiem znaleźć dzieło tak przyjemne do czytania a zarazem tak pouczające jak listy do ojca Gagaryna. Styl prosty, opowiadanie jasne, zrozumiałe dla każdego, nie obciążone przypisami, z niemiecka, a jednak ugruntowane na głębokiej znajomości przedmiotu, podobać się zapewne będzie wszystkim, a mianowicie czytelnikom francuskim, bardzo gustującym w traktowaniu poważnej materji sposobem salonowej rozmowy.

Dzieło o „narodowościach słowiańskich“ składa się z 14tu listów. Pierwszy obejmuje historję samego autora aż do jego naturalizacji we Francji, a następne streszczają dzieje ludów słowiańskich — ich pochodzenie i rozwój — szczególnie zaś Polski i Rosji jako opartych na dwóch zupełnie przeciwnych pierwiastkach: wolności i despotyzmu, a więc przeznaczonych walczyć z sobą aż do ostatecznego zwycięztwa jednego z nich. Dopóki carat uosobiający w sobie rasę i skłonności swoich założycieli Normando-Waregów i Tataro-Mongołów, będzie trzymał Rosję w niewoli, dopóty ludy słowiańskie nie staną na swoim gruncie rodzinnym i rozwijać się swobodnie nie mogą.

Autor widzi w rasie słowiańskiej materjał na pięć państw niepodległych: 1) Czechy z Morawią, 2) Polskę, 3) Ruś, 4) Rosję 5) Serbię stanowiącą 10milionowy naród, w skład którego

wchodzą: Kroacia, Karniolia, Istrja, Dalmacja, Hercegowina, Bośnia, Czarnogóra i Bułgarja. — Ale autor nie daje żadnego pojęcia o tem, co rozumie pod wyrazem „materjał na państwo," i dlatego nie można dokładnie pojąć, dlaczego Ruś odrywa od Polski. Ruś jest potrzebną Polsce, a Polska Rusi. Przez pięć wieków Ruś żyła w połączeniu z Polską, a cokolwiek powiadają nasi nieprzyjaciele, bunty i rzeźie kozackie, były wypadkami społecznemi a nie narodowemi. Jeżeli Serbia może połączyć pod jedną tarczą tyle gałęzi jednego drzewa, to niezawodnie Polska, ze swoją chorągwią wolnych z wolnymi, równych z równymi, ma dosyć braterskiego cementu ażeby wraz z Rusią mogła stanowić jedną państwową całość.

Po krótkiej wędrówce wśród ciemności średnich wieków, autor zastanawia się dłużej nad epoką, w której stara cywilizacja Greków i Rzymian zagasła — a pochodnia nowożytnego światła jeszcze się nie zapaliła u ogniska odrodzenia i reformacji — a potem powiada, że na Zachodzie jak i na Wschodzie barbarzyństwo utrzymało się jeszcze w prawodawstwie, w obyczajach i zwyczajach. Niektóre tylko narody usiłowały wydobyć się z ciemnej nocy, w której ludzkość gnuśniała. Polska była już jednym z tych narodów, wyróżniających się pomiędzy wszystkiemi tem szczególnie, że w całym szeregu książąt z dynastji Piastów, nie miała ani jednego tyrana; że w jej kronice książąt i królów nie widać ani śladu tego nieustającego szafunku morderstwem, trucizną i zdrożnościami wszelkiego rodzaju, w które w owej epoce tak obfitowały Włochy i inne kraje; że wreszcie, mimo sąsiedztwa niemieckiego, feudalność nie osiedliła się nigdy w jej łonie, a to z tej prostej przyczyny, że szlachta i lud, były w Polsce jednego pochodzenia, a więc nie było u niej nigdy kasty podbijającej i ludu podbitego, ale jeden, jednolity naród.

Szczególniej zaś uderza autora piękna postać ostatniego z Piastów, „jednego z tych rzadkich królów, których potomność ogłasza wielkimi, nie dla tego, że szafowali krwią ludzką na polu bitwy, ale dlatego że jej wiele oszczędzili swojem umiarkowaniem, mądrością i ludzkością; nie dla nadzwyczajnych czynów rycerskich, ale że umieli dobrze rządzić; nie dla tego, że się pokazywali zawsze światu w aureoli potęgi, ale że nigdy nie zboczyli z drogi sprawiedliwości." To trafne ocenienie zalet Kazimierza Wielkiego „nazwanego przez szyderstwo Królem chłopów, a który właśnie dla tego, że był królem uciemiężonych błyszczy w dziejach szczególnym majestatem", udawadnia autor treściwym poglądem na historję, a w końcu dodaje: „Kiedy Polska puszczała się z rozwiniętemi żaglami na drogę wolności, Moskwa rzucała się w objęcia nieograniczonego despotyzmu."

Najważniejszym jednak ustępem dzieła „o narodowościach słowiańskich, jest rozdział pod tytułem „Reformacja w Polsce." Pan X. Branicki przywiązuje bardzo słusznie wielką wagę do udowodnienia, że w Polsce, aż do wprowadzenia Jezuitów„ panował więcej jak gdzie indziej duch łagodności i wyrozumienia w przedmiocie religji, duch tolerancji charakteryzujący cywilizacją naszej epoki, którym cała Europa jest przejętą, zwyjątkiem jednej tylko Moskwy, przechowującej i pod tym względem tradycje barbarzyństwa."

Niezawodnie, gdyby wolność sumienia nie była u nas zakłóconą przez wpływy i nauki Jezuitów; gdyby ten fatalny dla ludzkości Zakon, nie wywołał był niektórych smutnych czynów fanatyzmu, zupełnie obcego charakterowi polskiemu, naród nasz wzmocniony wewnątrz, silniejszy stawiłby opór zewnętrznym napadom. Trudno jednak wraz z autorem przypuścić, ażebyśmy tym sposobem wytrącili z rąk nieprzyjaciół naszych wszelkie pozory rzucania się na naszą niepodległość; w miejsce sprawy dysydentów znaleźliby inną, równie sztuczną i obłudną, chciwość cudzego mienia i prawo pięści nie znają skrupułów — widzimy to i w naszych czasach.

Rozdziały następujące o Pawle Im, o Aleksandrze Im, są nadzwyczaj zajmujące chociaż więcej powiastkowej jak historycznej wartości. Do tej samej kategorji należą „wspomnienia mojej młodości", gdzie główną rolę gra nikczemna postać Jenerała Witte, pół katolika, pół szyzmatyka, bez żadnej narodowości, wydającego policji spiskowych rosyjskich z 1825 i opowiadającego dziwne anegdoty o przejściu na katolicyzm Aleksandra I, w ostatniej chwili życia.

W końcowym za to rozdziale „o nihiliźmie" napotykamy znowu poważny i głęboki pogląd na instytucję caratu, stojącego na dwóch tylko pierwiastkach: zaboru i despotyzmu. Wszystkie pojęcia o stosunku ludzi do Boga, a ludzi i narodów między sobą, podporządkowane są tym dwom kardynalnym podstawom caratu. Wszystko jest narzędziem panowania w rękach carów, nie mogących żyć bez despotyzmu, a despotyzm bez zaborów. Iwan Groźny, Piotr Pierwszy i Mikołaj, to najdoskonalsze typy tej instytucji tatarsko-mongolskiej, która ile razy zbacza z drogi wytkniętej tradycją i krwią, przywoływaną jest do porządku za pomocą szarfy na szyję lub trucizny. Słusznie też autor uważa despotyzm carski jako rodzica nihilizmu. Kto wiatr sieje, ten zbiera burzę. Kto po za sobą nie widzi nic uszanowania godnego, kto nawet kościół zamienia w biuro policyjne, ten musi koniecznie wzbudzić nienawiść do całego porządku społecznego, ten jest ojcem nihilizmu. Władza carów jest zaprzeczeniem trzech podstaw społecznych: wolności osobistej, uszanowania życia człowieczego, i własności indywidualnej. Nihilizm to samo powiada. A wiec carat i nihilizm, to jedno. Jeden drugiemu współzawodniczy tylko, a cała różnica leży w tem, że nihilizm nie chce już służyć ale rozkazywać; że carat już stary ale ma siłę wiekami nagromadzoną, a nihilizm młody i bezsilny; że siła caratu coraz widoczniej maleje, a nihilizm rośnie.

Jednem słowem, dzieło o narodowosciach słowiańskich rzuca jaskrawe światło na przeszłość i na obecny stan Rossji i z tego względu przyczyni się niezawodnie do otworzenia oczu niejednemu zaślepionemu propagandą urzędową. Zasłuży się dobrze cywilizacji i wolności.

Wątpię jednak ażeby to samo można powiedzieć o dwóch żydowskich książeczkach pana Ks. Branickiego. Jaki był cel tego wydania? Nie wiadomo. Trudno przypuścić ażeby neofita protestancki, w całym jeszcze zapale nowej wiary, którą zapewne przyjął z głębokiem wzruszeniem ducha, już miał wątpić i szukać nowej prawdy. Judaizm zresztą zamknięty od dwóch tysięcy lat w formułach kabalistycznych, zdaje się nie mieć w sobie nic udzielającego się, nic pociągającego, siła bowiem numeryczna jego wyznawców nie zwiększyła się prawie od czasu jak poszedł w rozsypkę po całym świecie. Szanować go winniśmy jako nietykalną własność sumienia, ale szerzyć jego naukę, to praca niewdzięczna, bo bezowocna, w dzisiejszych mianowicie czasach, kiedy dysputy religijne uważane są jako smutny a niebezpieczny legat przeszłości.

Ale i pan Ks. B. nie miał zamiaru wdawać się w te drażliwe materje, jemu chodziło zdaje się głównie o zaznaczenie liberalnych przekonań w kwestji usamowolnienia Izraelitów, która w obecnej chwili w wysokim stopniu Rumunów niepokoi, a Niemców zajmować poczyna. Nie dosyć jednak, w tem trudnem a ważnem dla ludzkości i cywilizacji zadaniu, podnosić wysoko zasługi i zdolności Żydow, nie dosyć wyliczać ich sławnych ludzi w rozmaitych gałęziach umiejętności i wiedzy; trzeba jeszcze i to przedewszystkiem, badać i wytykać przyczyny, dla których usamowolnienie obyczajowe i prawne, wyznawców Mojżesza z taką trudnością postępuje. Sumienna analiza na tej drodze doprowadziłaby niezawodnie do przekonania, że najważniejsza z owych przyczyn leży w nich samych, w duchu odrębności i odosobnienia, w jakim się obracają wszystkie warunki ich społecznego i politycznego życia. Niechaj przestaną być kastą w narodzie — niechaj ukochają ziemię, która ich żywi — niechaj staną szczerze w szeregach prawych synów ojczyzny a niezawodnie więcej nierówie zrobią dla usamowolnienia swego, jak narzucaniem się sztucznemi sposobami na nieproszonych gości.

* * *

Na zakończnnie tego długiego listu, muszę jeszcze powiedzieć słów kilka o małej książeczce pod tytułem „Dwie cieśniny, czyli kilka uwag nad obecnym stanem kwestji wschodniej". Wyszła w języku francuskim najprzód w Sztokholmie u P. A. Norstedt et Soner a potem w Paryżu u Ghio. Przypisywano autorstwo jej najprzód królowi szwedzkiemu, potem temu zaprzeczono, wszakże wątpliwości nie ulega, że ją pisał mąż stanu wysoko położony, gruntownie obeznany ze sprawami europejskiemi, a co rzadko się widzi w pismach dyplomatów, wieje tam duch szlachetny i wielce liberalny.

Autor wychodzi ze starej rządowej zasady że konfiguracja naturalna kraju stanowi o jego polityce zewnętrznej; że kraje nie mające morza u swych granic, pozbawione są powietrza, dusić się muszą w zamknięciu, a więc uważa za rzecz naturalną, że Moskwa dążyła dotąd do opanowania dwóch cieśnin: Zundu i Bosforu. Być może, że Moskwa odstąpi od swojej tradycyjnej polityki na wschodzie, albowiem z jednej strony, komunikacje lądowe takie teraz przybrały rozmiary, że już posiadanie Bosforu straciło nieco na swojej ważności, a powtóre, że ostatnie wypadki na wschodzie musiały ją bardzo w zaborczych zamiarach osłabić. Ale jestto tylko przypuszczenie. Niebezpieczeństwo dla Europy, a szczególnie dla Niemiec, pozostało się w dawnej sile, Niemcy mają przed sobą wielkie zadanie: zabezpieczyć sobie i Europie granice wschodnio-północne. Ażeby tak ważny cel osiągnąć, autor nie widzi innego, naturalniejszego środka, jak podniesienie czterech narodowości: Finlandją z prowincjami nadbałtyckiemi, Polskę, Rumunją i Serbią. „Przypadek zrządził, powiada, że te cztery narodowości, do których może się dołączyć w chwili stanowczej, nieprzebłagany nie-

przyjaciel Rossji, Węgry, stanowią razem pasmo od północy na południe, na całej długości granic rossyjskich i dalej jeszcze, oddzielają ją zupełnie od Europy. Finlandja niepodległa, Polska w granicach naturalnych Dźwiny i Dniepru; Rumunia powiększona częścią Bessarabji Rumuńskiej, Serbja wolna aż do Bosforu, wszystko to nie jestże najczystszym i najjaśniejszym interesem Niemiec?

Rozbierając bliżej stosunek tych czterech narodowości do Rossji, autor tak się wyraża o stosunkach Polski: „Tutaj to rządy rossyjskie nagromadziły taką masę błędów i zaślepienia, że byłoby prawdziwym cudem, gdyby to państwo nie ściągnęło na siebie kiedyś tak ciężkiej kary, że się z niej więcej nie podźwignie. Kto tylko ma oczy do widzenia, a uszy do słyszenia, wie, jak śmieszną jest gadaniną o jakiejś finis Poloniae, o tym frazesie powtarzanym przy każdej sposobności przez Rossjan, a to z takim niepokojem, że łatwo spostrzedz, iż sami w niego nie wierzą. Usta zamknięto Polakom, ale w ich sercach pała ogień odwetu, silniej jak kiedykolwiek, potrzeba tylko iskierki, ażeby wybuchnął pożarem. Czyż można wierzyć, aby rasa tak liczna, tak potężna a tak inteligentna, jaką jest rasa Polaków, miała zgasnąć pod ciężarem niewoli jednego wieku, kiedy po drugiej stronie Dunaju, mamy przykład narodowości, tego samego pochodzenia, odzyskującej swoje siły i oddychającej nowem życiem pełnem jędrności i soku, przeżywszy przeszło tysiąc lat uciemiężenia?" To mówi król szwedzki lub jemu *ktoś bliski*.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Tydzień rozpoczął się dniem poświęconym pamięci umarłych, który się szczególniej u nas, z wielką okazałością obchodzi. Dziwne i przejmujące wrażenie robią tłumy ludzi snujące się po cmentarzu, wśród nocy, pomiędzy tysiącznemi lampami i świecami, między drzewami i krzakami już napół umarłemi, o zżółkłych i zczerwieniałych liściach, zaledwie gałęzi się trzymających... Milczenie zalega cmentarz i słychać tylko jęki i zawodzenie skulonych od zimna żebraków z towarzyszeniem szumu zeschłych liści, deptanych nogami przechodniów. Tłum posuwa się milcząco kilka stóp wyżej od wielkiego pokładu trupów, przypominając sobie tych, którzy żyli a już teraz w proch się rozpadli. Przechodząc przed krzyżem wspólnym poległych za ojczyznę nuci chórem pieśń żałobną i pieśń nadziei, przed pomnikami tych co sławy narodowi przyspożyli uchyla głowy, zatrzymuje się przy grobach przyjaciół i najdroższych... Co się z nimi stało? W co się obrócili? Co po nich zostało? — Rozpadające się szczątki, tonące napowrót w ziemi i to co nie umiera, ich czyny.

Co się stało z Grotgerem, Goszczyńskim, Szajnochą i tylu innymi których tam złożono?

Marność życia, krótkotrwałość jego uciech, złudność rozkoszy, fata morgana szczęścia, są potrawami, któremi nas wyobraźnia na cmentarzu częstuje.

* * *

Stoi dwóch biedaków nad grobem. Stara to jak świat historja. Jeden z nich powiada:

— Nędznem jest życie nasze; szczęśliwy ten co się nie urodził!

— Ba! — odpowiada drugi — nie każdy potrafi być tak szczęśliwym!

Pamiętamy, przed laty kilku spotkaliśmy wśród grobów staruszkę, artystkę wielkiej sławy, która niegdyś pięknością swą i talentem na scenie świeciła. Dziś gdzieś znikła w cieniu. Chodziliśmy z miejsca na miejsce a ona była Ciceronem, bo znała każdy zakątek, i wielu tych, których już nie było. Dzień się zbliżał ku końcowi i niebo zasłaniało się tęczowemi blaskami przed zmrokiem.

— Przyjdzie i mnie niedługo złożyć tu głowę — mówiła, szukam sobie wygodnego i spokojnego miejsca między znajomymi. A iluż ich tu, mój Boże, posiadam! Patrz pan — ten nagrobek szczerbiący się już od ręki czasu. Kochał mnie ten co pod nim leży gdym jeszcze pierwsze kroki na scenie robiła, pisał wiersze, chciał życie poświęcić i umarł jakoś niespodzianie. Biedny chłopiec!

Uszliśmy kilka kroków dalej.

— Pod tym krzyżem spoczywa inny przyjaciel. Ileśmy szaleństw razem popełnili a jaki był ładny! Mieliśmy się już pobrać kiedy los nieszczęśliwy sprowadził inną, która mi go zabrała. Była bogata. Leży tu obok, pod tą płytą. Niech jej Bóg tego nie pamięta.

I przeżegnawszy się, zmówiła pacierz. Szliśmy dalej, i coraz nowe groby z wielbicielami, odkrywały swoje tajemnice. Ciemniało już bardzo, więc przerwaliśmy wędrówkę; gdyby nie to, trwałaby jeszcze godzin parę... Znajdywaliśmy młodych poetów, których imię wygasło, a którzy dla niej całe poemata składali, rzeźbiarzy, którzy jej postać uwieczniali i wielu, bardzo wielu innych. Cała litania miłosnych zapędów.

— No! no! pomyślałem sobie patrząc na tę nad grobem pochyloną osobę, przypominającą gorące zachwyty młodości — musiałaś ty staruszeczko znaczny zapas uczuć w twej piersi posiadać, jeśliś na tyle innych odpowiedzieć zdołała! Temi kwiatami serdecznych zapałów można by cały nasz Parnas bieżący obdzielić.

O! bo u nas poezja jest teraz daleko bardziej idealną i bardziej od ciała oderwaną. Wyobraźnia dostarcza więcej kochanek, aniżeli ich jest w istocie, a pierś jest składem wszelkich możliwych dekoracji teatralnych zmieniających się na zawołanie. Trzeba tylko za sznurek pociągnąć a nowy obraz jest już gotowy.

— Chodźmy — rzekł ktoś w Zaduszki do jednego z młodych wieszczów — na cmentarz.

— Ja mam w piersi cmentarz — odpowiedział grobowym głosem, i podniósłszy swe mętne a łzawe oczy, umieścił je na pessymistycznie nastrojonym firmamencie.

Potem powtarzał rymując, po cichu: *cmentarz, czy pamiętasz, regimentarz, opętasz, inwentarz...*

* * *

Przedstawienie „Żołnierza królowej Madagaskaru" trzyaktowej farsy Stanisława Dobrzańskiego, wywołało nieco wrzawy i tumultu w sferach zainteresowanych teatrem. Protestowano w „Dzienniku", rozpisywano moralne listy do różnych redakcji. Że wrzawa się zrobiła, to i owszem. Lepiej, że źle mówią, aniżeli gdyby zupełnie o scenie milczano. Jestto przynajmniej dowód zainteresowania się i uznania znaczenia desek teatralnych. Lecz według naszego zdania zarzuty zostały skierowane nie tam gdzie należy i uderzono nie tam gdzie rzeczywiście słaba strona.

A! wołano przedewszystkiem, strojąc twarz do oburzenia, sztuka jest okropnie niemoralną, psującą młode pokolenie itd. Tymczasem w całej farsie nic niemoralnego dopatrzeć nie mogliśmy. Niemoralność w tendencji zawierać się tylko może, a „Żołnierz królowej Madagaskaru" żadnej nie posiada; jestto poprostu wesoła farsa jak tysiące jej podobnych, ze zwykłymi koncepta mi nieraz nieco tłustawymi, a z którymi najniewinniejsza istota w życiu codziennem na każdym kroku się spotyka. Niemoralnymi są utwory Dumasowskiej szkoły, w których w przepysznej formie rozwiązują się tezy społeczne, rozstrajające rodzinę i podnoszące do szczytu to, co deptanem być winno. Z nich wkrada się w młodą duszę choroba nieuleczalna i to w formie prawdziwie artystycznej, ponętnej i działającej na nerwy. Lecz zwykła karykatura, najzwyklejszych stosunków, nie zrobi nic złego i nie ma się czego obawiać. Wprawdzie nie dla piętnasto-letnich panienek jest ona pisaną, lecz znowu nie ma nic tak okropnego, coby na dłużej pozostawiło złe ziarno po sobie.

Niemoralności więc, bezstronnie mówiąc, zarzucić nie można. Nieprzyzwoitość i niesmaczne koncepta, to znów inna strona rzeczy i w tym kierunku nie żałowano sobie wcale. Nie tyczy się to tyle autora, ile wykonawców. Jeśli jednak pani Zimajer przypomina nam ruchami i całem zachowaniem się tingel-tangle, to przecież nie jest to wina Stanisława Dobrzańskiego. Artystka widocznie obiera sobie specjalny kierunek w sztuce, który bardzo miłe robić może wrażenie w ogródkach na widzach palących cygara i popijających piwo, ale na większej scenie po pewnym czasie zignorowanym przez publiczność zostanie.

* * *

Znowu jeden ton fałszywy. Wszyscy wiedzą iż na uczcie dla Siemiradzkiego zaszło małe nieporozumienie między kilkoma biesiadującymi, z którego wywiązała się krótka sprzeczka paru osób. Jak zwykle przy takim rozgardjaszu. Przeszło to prędko i bez awantur się skończyło. Pisma naturalnie o tem zamilczały, jak o rzeczy o której nie warto wspominać. Tymczasem teraz w „Tygodniku illustrowanym warszawskim znajdujemy w kronice ustęp następujący:

„Na uczcie wydanej tam na cześć twórcy „Świeczników", zabrał głos między innemi młody student wszechnicy miejscowej i w słowach dość szorstkich zarzucał jej zarządowi, że niedość gorliwie wskazuje uczniom drogę obowiązków narodowych.

„Na to jeden z profesorów uniwersytetu odpowiedział, że zadaniem ciała uniwersyteckiego jest tylko ułatwianie studentom nabycia wiedzy i czuwanie nad tem, aby z zakładu nie wychodzili nieukami, a słowa mowcy poparł jeden z obecnych obywateli.

„Wywiązał się ztąd spór, który coraz szersze przybierając rozmiary, zagrażał już nawet pojedynkiem między rzecznikiem studentów, a owym obywatelem, trzymającym stronę władzy uniwersyteckiej.

„Siemiradzki dotknięty tym niemiłym dysonansem w uczcie bratniej, a chociaż sam jeszcze młody, czujący żywo niewłaściwość takiego wystąpienia, oświadczył wówczas, że jeśliby przyjść

miało do rozprawy honorowej, to prosi wyzwanego obywatela o przyjęcie go za sekundanta. Wtedy ów student który niebacznem odezwaniem się swojem spór cały wywołał, powstał z miejsca, ukłonił się w milczeniu Siemiradzkiemu i podszedłszy do wyzwanego podał mu dłoń zgody przepraszając za uniesienie chwilowe."

Otóż w tym całym ustępie tyle prawie fałszów ile słów. Zdawałoby się z tego sprawozdania, jakby zaszła jakaś wysoce patetyczna scena, tymczasem była to najpospolitsza bezcelowa sprzeczka. A ten Siemiradzki występujący w roli rycerskiego sekundanta, przecież jest przepyszny! Dziwimy się naiwności redakcji, która mogła przypuszczać, iż podobne rzeczy istotnie dziać się mogły. Nie wolno w poczciwem piśmie na wiarę byle kogo, podawać humbugi, które do uroczystości z takim entuzjazmem urządzonej, na jaki stać mogło, dorzucają jakieś przykre i niesmaczne epizody. Gdyby nawet były, obowiązkiem jest zamilczeć, szczególniej w Warszawie, wobec tych, którzy czyhają na każdy krok fałszywy.

* * *

We wtorek odbyło się pierwsze posiedzenie po wakacjach Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, na nowo więc rozpoczynamy sprawozdania z posiedzeń, tego pożytecznego i ruchliwego Towarzystwa. Po przywitaniu zgromadzonych przez prezesa Dr. Żmurkę, odczytał Dr. Stella-Sawicki zajmującą i ładnie napisaną rozprawę „O różnych zaburzeniach mowy". Szanowny prelegent mówił o dziwnych i trudnych nieraz do wytłumaczenia zjawiskach chorobliwych w których choroby mózgu albo narządu głosowego sprowadzają w mowie zmiany najrozmaitszego rodzaju. Jeśli źródło takich zaburzeń leży w niezdolności wytworzenia myśli przez mózg, to wtedy mamy do czynienia z tak zwaną alogją. W innych wypadkach chory myśleć może, ale zapomina słów na oddanie myśli W innych znowu zapomnienie to jest częściowe, są tacy którzy nagle zapominali jakiegoś języka, który aż do ostatniej chwili posiadali, inni którzy naraz nie mogli wymówić żadnego przymiotnika. Niektórzy zamiast wszystkich słów, których pierwej używali, mogli tylko wymówić kilka, które stosowali do wszystkich wyobrażeń. Prelegent z wielką jasnością i w ślicznej formie przedstawił te zjawiska i po skończeniu został przyjęty oklaskami,

W dyskussji która się nad tym przedmiotem wywiązała, zabierał głos p. Dr. Ochorowicz i wykazał ważność badań tego rodzaju zjawisk dla psychologji, szczególniej w celu wynalezienia pewnych podstaw, do potwierdzenia przypuszczeń, iż pewne wyobrażenia mają swoje osobne siedliska w naszym mózgu.

Odczyt p. Stelli-Sawickiego drukować będziemy w „Tygodniu"

Następnie mówił p. Abakanowicz o najnowszych postępach w oświetleniu elektrycznem a mianowicie o nowem odkryciu Edisona, co do oświetlenia za pomocą rozrżażonego drutu platynowego i o przyrządach pana Rychnowskiego we Lwowie. Czytelników interesujących się tym przedmiotem, odsyłamy do kronik naukowych które p. A. zamieszcza w „Tygodniu." W dyskusji nad przedmiotem zabierali głos, prof. Fabian i Radziszewski.

Przed zakończeniem posiedzenia p. Abakanowicz wystosował pytanie do Zarządu, czy nie ma jakiejkolwiek wiadomości o zjeździe przyrodników, który miał się tego roku odbyć w Krakowie, a co do którego już interpelowaliśmy w ubiegłym numerze Tygodnia. Zarząd oświadczył, iż wystosuje od siebie pismo do komitetu krakowskiego, który miał się zająć urządzeniem tego zjazdu.

* * *

Z nowin literackich mamy do zanotowania parę takich, które zainteresują zapewne czytelników Tygodnia.

Czcigodny Jubilat Kraszewski przysłał nam nową powieść, którą niedługo drukować zaczniemy. Rekomendować jej czytelnikom nie mamy potrzeby. Oprócz tego obiecał nadsyłać korespondencje, które od czasu do czasu zamieszczać będziemy.

Jan Lam po długiem milczeniu przygotowuje wielką powieść, która w szpaltach naszego pisma będzie drukowaną. Nabytek to nieoceniony szczególniej od tak skąpego w wydawaniu prac literackich autora; spieszymy się więc też podzielić tą wiadomością ze zwolennikami naszego pisma. Powieść ta znacznych rozmiarów będzie miała za tło autonomiczne stosunki Galicji; autor opowiadał nam z niej kilka kart, które jak wszystko co z pod jego pióra wychodzi tchnie dowcipem i ostrą satyrą. Będzie to pendent do panny Emilji, która w literaturze naszej zajęła jedno z miejsc najpierwszych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

*** Za granicą wyjść mają następujące przekłady pism Kraszewskiego:

„Witoloraudę" tłómaczy na język niemiecki A. Zipper.

„Resurrecturi," powieść, tłumaczy na język niemiecki dla „Universal Bibljotek" Loebenstein, który poprzednio już przełożył „Morituri".

„Jarynę" i „Ostapa Bondarczuka" tłómaczy na język niemiecki Fritz.

„Dziecię Starego miasta" powieść, tłumaczy na język niemiecki pani Hoffman Maczko.

„Hrabinę Cosel" tłómaczy po francusku dla „Revue Slave" Juliusz Mien.

„Chatę za wsią" tłumaczy na język czeski Spauhel. Trzy pierwsze zeszyty przekładu wyszły już z druku.

„Kochajmy się" tłómaczy na język czeski prof. Hora w Pilznie.

„Na Wschodzie," powieść, tłómaczy na język niemiecki baron Pauman. Tytuł przekładu jest „Der Drang nach Osten."

W tym roku wyjednano od autora pozwolenie tłómaczenia dzieł jego według dowolnego wyboru, na język angielski.

*** W ostatnim numerze „Leipziger Ilustr. Zeitung" znajdujemy wykonany znakomicie portret Kraszewskiego wraz z artykułem biograficznie-krytycznym p. Eug. Lipnickiego.

W niewielkich ramach p. L. umiał pomieścić najwybitniejsze rysy pisarskiego zawodu i publicznej działalności jubilata, oceniwszy je z należytem uznaniem i trafnością sądu.

*** Franciszek Malinowski, znakomity nasz uczony opracował gramatykę sanskrycką, dzieło to nie może być całkowicie wydane dla braku funduszów. Autor żeby zebrać potrzebne pieniądze, nadesłał pierwszą jego część do redakcji „Nowin" i do znaczniejszych księgarni.

W roku bieżącym kiedy rozeszła się mylna pogłoska, że ks. Malinowski ociemniał, ludzie dobrej woli pospieszyli z ofiarami, ks. Malinowski nie potrzebował ich i nie przyjął; zwrócono je ofiarodawcom. Dziś możemy przyjść z pomocą nie autorowi, ale dziełu, które stanowić będzie zaszczyt naszej literatury.

*** Czwarty z kolei „Pamiętnik Towarzystwa tatrzańskiego za rok 1879", przypisany jubilatowi Kraszewskiemu, rozesłany już został członkom tegoż Towarzystwa.

Dobór artykułów odpowiednich zadaniu tego nader sympatycznego stowarzyszenia, ozdobne i staranne pod względem typograficznym wydanie, stanowią dodatnią stronę „Pamiętnika".

Z zamieszczonego na czele sprawozdania dowiadujemy się, że Towarzystwo tatrzańskie wraz z oddziałem stanisławowskim i kołomyjskim liczy obecnie członków honorowych 26, dożywotnich 31 i zwyczajnych 1631; prezesem hr. Mieczysław Rey, wiceprezesem Wł. Lud. Anczyc, sekretarzem Leopold Świerz.

Za najważniejsze z działań Towarzystwa należy uznać założenie szkoły snycerskiej w Zakopanem pod kierunkiem nauczyciela Franciszka Neużeli; do szkoły tej uczęszcza obecnie 17 uczniów z Podhala tatrzańskiego.

Zakupiono nadto plac pod mający wnieść się w Zakopanem dom dla Towarzystwa, zbudowano schronisko w oddziale czarnohórskim, poprawą niektórych dróg ułatwiono wycieczki dla turystów, zapewniono straż dla powstrzymania kłusownictwa i wytępiania kozic, dano również ochronę pstrągom.

Oprócz protokołów posiedzeń „Pamiętnik" mieści w sobie rozprawy i opisy, z których celniejsze: „Wycieczka na Czarnohorę", przez Wł. Hankiewicza; „Dolina Prutu", przez M. Łomnickiego; „O koniu żmudzkim", przez Gregorowicza (z ryciną); „Wycieczka na Łomnicę", przez J. Pawlikowskiego; „Rybie jezioro w Tatrach polskich." przez Eugenjusza Dziewulskiego; „Wycieczka do doliny Chochojowskiej", przez dra Al. Alth'a; wreszcie dr. Chałubiński dał w dalszym ciągu spis mchów zebranych w Tatrach.

Na wstępie zdobi „Pamiętnik" drzeworyt z rysunku Walerego Eljasza, przedstawiający tak zwaną „Bramę Kraszewskiego", w dolinie Kościeliskiej.

Towarzystwo liczy wielu bardzo członków z Warszawy i Królestwa.

*** Donoszą nam, iż p. Józef Wieniawski zaproszonym został przez Mikolaja Rubinsteina do przyjęcia udziału w dwóch koncertach Cesarskiego towarzystwa muzycznego w Moskwie, które się odbędą w d. 14 i 16 przyszłego miesiąca.

Artysta nasz przyrzekł swój współudział i pomiędzy innemi utworami na pierwszym z tych koncertów zamierza wykonać wielki koncert symfoniczny Litolfa (Es dur).

W przejeździe do Moskwy, p. Wieniawski zatrzyma się w Mińsku gubernjalnym i wystąpi tam z koncertem we czwartek dnia 6 listopada.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Z Tarnowa donoszą, że powstał projekt postawienia w tem mieście pomnika na cześć autora „Wiesława," Kazimierza Brodzińskiego, — z tej okoliczności, że Brodziński kształcił się niegdyś w gimnazjum tarnowskiem.

*** W Paryżu odbyło się 1 listopada odsłonięcie pomnika dla Seweryna Gałęzowskiego, w szkole, której był on głównym filarem i założycielem. Pomnik wykonany przez Cyprjana Godebskiego. uważany jest przez znawców za najlepsze dzieło rzeźbiarskie tego artysty.

*** Z Gniezna. Znowu trzy miejscowości otrzymały nazwy niemieckie, a mianowicie: Piła przezwaną została Mühlheim, Piłka otrzymała nazwę Klarau, a Popielarze będą się odtąd zwały urzędownie Aschheim.

Podróże.

*** „L'Indépendence belge" pomieszcza następujące szczegóły o ekspedycji belgijskiej: Popelin i van der Hennel ruszyli w dniu 10. lipca z wschodniego wybrzeża Afryki do Mpawpwa, trzymając się drogi, przez którą przechodził Stanley, i w dniu 15. sierpnia przybyli do Mpwapwa. W dniu 2. września stanęli w Chunyu, zkądpuścili się dalej dnia następnego, przechodząc przez Ugogo. W Mpwapwa spotkali karawanę słoniów, prowadzoną przez Cartera, która tam

dotarła w dniu 3. sierpnia. Każdy słoń dźwiga blisko 1000 funtów ciężaru. Pochód uskutecznia się bez przeszkody. W okolicach, gdzie się napotykają muchy „tsetse“, słonie były niemi prawie całkiem pokryte, bez szkody dla siebie. Jeden ze słoni, żywiony roślinami krajowemi, przestał żyć wkrótce po przybyciu do Mowapwa. Zdrowie sprzyja podróżnikom.“

⁂ Doniesiono telegraficznie, iż profesor Nordenskjöld przybył w dniu 17. października z Yokohamy do Hiogo, zkąd nazajutrz popłynął do Nagasaki; w dniu 1. grudnia zamierza on dosięgnąć Singapore, a w dniu 22. grudnia Point de Galle na Cejlonie.

Komunikacje.

⁂ Rząd dać ma wktótce stanowczą decyzję co do budowy linji drogi żelaznej Stanisławów-Husiatyn lub Tarnopol-Husiatyn, o co ubiegają się zarządy dwóch kolei.

⁂ Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej wyznaczył komisję dla zbadania Sudańskiej kolei żelaznej. Pan Freycinet, jak widać ma planów olbrzymich wiele, ale czy to wszystko przyjdzie do wykonania?

⁂ Telegram z Adenu stwierdza fakt zupełnego przeprowadzenia telegraficznego drutu podmorskiego między Natalem a Zanzybarem.

Statystyka.

⁂ Z Bulgarji Według statystyki podanej przez korespodenta jednej z gazet angielskich ludność bulgarska wynosi około 1,500,000 osób. Z tej liczby na ludność miejską wypada od 230,000 do 250,000 osób, co stanowi szóstą część ogólnej ludności. Ruszczuk. Tyrnowo i Widdyn mają po 25,000 do 30,000 mieszkańców, Szumla 18,000 do 20,000; Gabrowo 15,000 do 20,000; Systowa 18,000; Warna 16,000 do 18,000; Sylistrja 12,000: Sofia 10,000 do 12,000; Łowcza 8,000 do 10,000: Łom 8.000; Razgrad 5,000 do 6,000; Dżuma i Eski-Dżuma po 6,000, Radomir i Osmanbazar po 4.000 mieszkańców. Prócz tego jest jeszcze mniejszych miasteczek od 15 do 20, liczących po dwa do trzech tysięcy ludności.

Zjawiska przyrody.

⁂ Rok bieżący odznacza się wielką ilością wybuchów wulkanicznych i ściśle z niemi związanych trzęsień ziemi. Obserwano „dwanaście“ takich wybuchów i to w najrozmaitszych i w najbardziej od siebie odległych krańcach ziemi. W Ameryce południowej, w Irlandji, w Japonji, we Włoszech, wyspach Aleuckich, wszędzie czynność erupcyjna gwałtownie się przejawiała. Trzęsień ziemi skonstatowanych było w ciągu roku 103. W niektórych miejscach trzęsienia ziemi powtarzały się, w dość wprawdzie słabym stopniu, ale przez całe godziny, dnie, a nawet tygodnie. Tak było w Terapaca. Najwięcej wstrząśnień skorupy ziemskiej odbyło się w czasie zimy. Nieszczęść wielkich nigdzie nie było.

⁂ Na Węgrzech oprócz wspomnianych poprzednio miejscowości, trzęsienie ziemi czuć się dało jeszcze w Reszycy, Ługoszu, Starej Moldowie, Izbisztji, Orawicy, Herkulesbadzie, i Turn-Sewerynie. Korespondent jednej z gazet węgierskich donosi o ciekawym fakcie: Kiedy w Biało-Kościołach-Węgierskich wstrząśnienia były gwałtowniejsze niż gdzieindziej, to w kopalniach węgla pod tem miastem, górnicy w głębokości 40 do 60 sążni nie czuli wcale trzęsienia ziemi.

⁂ Na stacji meteorologicznej św. Gotarda w Alpach dochodził w zeszłym tygodniu mróz do 17° C.

Z DZIEDZINY MODY.

„Świat elegancki“ żywo zajęty jest tualetami, które się sposobią dla przyszłej królowej hiszpańskiej na jej gody weselne.

Oto kilka z wyprawy tej szczegółów.

Suknia ślubna z białej brokateli pokrytą jest prześlicznym i wielce kosztownym płaszczem koronkowym.

Wszystkie herby odwiecznego hiszpańskiego państwa są na tym płaszczu w nowy bardzo kosztowny wyszyte sposób.

Herby te stanowią nadzwyczaj piękną i wspaniałą bordiurę płaszcza, którego tło narzucono kwiatami.

Na welonie całą tualetę pokrywającym znajdują się powtórzone w mniejszych rozmiarach też same co na płaszczu motywa.

Inna tualeta galowa, ze złotej brokateli, przybraną jest różami z materji jedwabnej, które pomiędzy sobą połączone są i podtrzymywane girlandami z niezapominajek i białych lilijek

Trzeci strój na wielkie przyjęcia ze srebrnej brokateli osłonięto kwiatami geranium w różnych odcieniach.

Swietne te stroje przed wysłaniem ich do Hiszpanji wystawiono w Paryżu (gdzie je robiono) na widok publiczny.

Z mody ogólnej mamy do zanotowania rozmaite inne „objawy“ sezonu.

Polowania wszędzie się już rozpoczęły — i uwaga więc strojnych pań zwróconą jest na tualety do łowów używane.

Są one wszystkie z paskowanego aksamitu z kamizelką z pelpy (pelpa jestto tkanina jedwabna, podobna do aksamitu tylko z dłuższym włosem) i paltocikiem z indyjskiego kaszmiru.

Do zwyczajnych ubrań noszone są kaftaniki czyli kurtki „à la Louis XV , które do wszystkich tualet zastosować się dadzą

Ubranie takie w rodzaju krótkich paltocików robione jest z blado niebieskiej ciężkiej materji jedwabnej w deseń z kwiatów świetnych kolorów.

Przytem nosi się kamizelka. która z pod takiego paltocika wychodzi.

Kamizelka taka robioną jest zwykle z materji jedwabnej lub atłasu takiego samego koloru jak tło paltocika — z długim żabotem koronkowym.

Dwie damy „najwyższego“ świata, księżna de M. i hrabina P., wprowadzają w modę dawno zapomniany styl „Rococo“, z baftami na sukniach, kazakinach i paltotach.

Hafty tego stylu wykonywane są na szerokich w pięknych kolorach pasach jedwabnych.

Wymienione panie przesłały niedawno fabrykom lyońskim zamówienia i modele takich pasów.

Okazało się, iż dla zadośćuczynienia kaprysowi dam tych i wprowadzenia na nowo w użycie tego rodzaju przybrań potrzeba było wynaleźć i urządzić nowe zupełnie przyrządy.

Wskutek tego hafty te nadzwyczaj okazały się kosztowne i długo jeszcze trzeba będzie czekać na uprzystępnienie tej kosztownej mody.

Ogólne panuje przekonanie, iż przyszłej zimy złoto będzie bardzo noszone.

Może to być bardzo piękne dla tualet wieczorowych, ale na dzienne przyjęcia i na ulicę nie bardzo jest estetycznem.

Kapelusze są szeroko złotem okalane.

Brzeg kapelusza cały złotem wyłożony, wierzch czyli główka kapelusza również złotem jest ozdobiona.

Pióra są na złocie osadzone, a oprócz tego do ozdoby tych kapeluszy używa się kwiatów z wielkiemi złotemi liśćmi.

Do strojów z indyjskiego kaszmiru używane są szerokie złote pasy, z pod których wychodzi frendzla ze złotego „marabout“.

Czem kaszmir ciemniejszy, tem świetniejsze mają być złote ozdoby.

Jesienne cięższe stroje już prawie zupełnie wyrugowały noszone na pożegnanie lata — lżejsze suknie.

W modzie są bardzo bogato przybrane suknie z jedwabnych ciężkich materyj broszowanych, na które przedewszystkiem używa się wyrobów w guście wschodnim w deseń z kwiatów atłasowych lub aksamitnych, lub też indyjskie wzory, zupełnie nowego rodzaju.

W tej nowej indyjskiej materji na tle rozmaitego koloru wyrobione są wielkie złote kwiaty.

Na ostatnich zebraniach około kaskady w lasku bulońskim margrabina de Saint-S. ukazała się w sukni z indyjskiego kaszmiru w fałdy ze szkocką jedwabną szarfą na karmazynowem tle.

Księżna S. miała na sobie suknię z kaszmiru niebieskiego „(bleu-gensdarme)“, a księżna J. suknię w połowie z indyjskiej jedwabnej materji, w drugiej zaś z kaszmiru.

Pani de B. ogólną zwróciła na siebie uwagę kapeluszem z granatowego aksamitu z pękiem piór i ozdobami jedwabnemi tegoż samego koloru.

Co do kapeluszy, to obecnie w modę wchodzące są tak ekscentrycznemi, że trzeba je zobaczyć. ażeby... w ich istnienie uwierzyć!

Są to olbrzymie kapelusze z jedwabnego filcu lub aksamitu, nazwane „ourson (niedźwiadki) albo „farinier“ (mączarskie).

Pierwsze noszone są w najrozmaitszych kolorach, drugie zaś mączno-białe, żółtawe, lub srebrno-szare.

Jedne i drugie niepomierną mają wielkość i przyozdobiane bywają również niezwykle szerokiemi wstęgami.

Na przyjęcia dzienne używane są bardzo tureckie suknie z indyjskiemi szalami, bogato jedwabiem i złotem haftowanemi.

Najbardziej noszonym na takie ubranie jest kolor ciemno-niebieski w odcieniach koloru błękitu albo szafiru.

Jako materje są tu najbardziej poszukiwane indyjskie kaszmiry z szarfami niebieskiemi „(mandarin“ lub „brahma)“ w palmy czerwone.

De podróży używają wykwintniejsi także szali z kaszmiru indyjskiego z fałdowanemi brytami wpośród których fałdy podtrzymuje saski pas aksamitny.

Jako nowowynaleziony odcień w skali kolorów zapisać należy tak zwany kolor „canaque“.

Jestto odcień miedziano-czerwony, przypominają kolor zachodzącego słońca.

Są już tego koloru aksamity, atłasy i indyjskie materje jedwabna.

Kolor ten najbardziej jest używany przy jesiennych kapeluszach.

Pewna piękna amerykanka zadziwiła niedawno modny Paryż kapeluszem „ourson“ czarnym, z czarnem piórem, szarfą jedwabną koloru „canaque“ i wielkim ptakiem także „canaque“ z boku.

Kapelusz ten bardzo był do twarzy zachwycającej kobiecie, ale... jest on zbyt ekscentryczny, jak dla europejek.

Atłas odgrywa wielką rolę w tualetach jesiennych; stosowny on jest do pory roku i doskonale mięsza się z kaszmirem indyjskim.

Widzieliśmy w tym rodzaju prześliczny kostjum z kaszmiru koloru „bleus-sévres“ w połączeniu z niebieskim atłasem.

Tunika zbierała się w tył w puf, który podtrzymywany był i zakończony pasami atłasowemi; stanika brzegi obłożone szeroko atłasem.

Z przodu stanik otwiera się, a pod nim widać kamizelę z niebieskiej jedwabnej mateji, która harmonijnie całą tualetę zakończa.

Mody z czasów Ludwika XV, a raczej z czasów regencji tak w powszechnem są użyciu, że żadne inne z niem konkurencji wytrzymać nie są w stanie.

Kolor niebieski stał się najmodniejszym.

Do ozdób zaś najbardziej używanych należą złoto i perły z czeskiego kryształu, które przy świetle gazowem, albo też przy świetle lamp piękne sprawiają wrażenie.

Od Redakcji.

WPan S. w Dolędze. Otrzymaliśmy. Za uprzejmą pamięć dziękujemy.

WPan Or. P w Stryju. Dziękujemy za obietnicę, oczekujemy skutku. Nr. 37 wyszlemy.

Treść Nr. 41. str.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. **Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.**